

Styk

Białystok, nr 2 (23) marzec 1994 r.

indeks 353108

miesięcznik

5000 zł

Kultura i nie tylko

- ✿ Noc Boscha
- ✿ Blżej Wieśka
- ✿ Czekaając na gajowego
- ✿ Kiedy przyjedzie autobus
- ✿ Funky, funky



To nasze ZOO

Daremny żal

Ostatnio prawie publicznie żale wylewali białostoccy plastycy. Ja chłopaków rozumiem, bo też chciałbym mieć dom, volvo i rasowego psa, ale gdzieś tam w świecie nauczyłem się, że wyżej kregosiupa nie da się podskoczyć i na tym etapie rozwoju młodego kapitalizmu nie wszyscy mogą mieć volvo. Poza tym nauczono mnie tam jeszcze, że wszelkie niepowodzenia mające swój powód poza wyżej podanym tkwią we mnie samym, a nie w rządach Pawlaka, Suchockiej, Bieleckiego, Mazowieckiego czyli w rękach prezydenta Wałęsy. Jeżeli dochodzę do wniosku, iż z dziennikarstwa nie jestem w stanie wyżyć, powinienem kupić sobie budę na bazarze, albo zacząć zbierać pod kościołem. Innego wyjścia nie ma.

Iść obok i po swojemu

Z Jerzym Binkowskim rozmawia Iwona Wąsowicz - Szczepaniak

Kiedy poezja stała się dla ciebie ważna?

Poezja zawsze we mnie istniała - tak jest z człowiekiem od zarania wpisanym w liturgię kościoła; wychowałem się u stryja, kapłana katolickiego.

ZESPÓŁ *LOU RAMPEÚ* ST. TROPEZ

pieśni i tańce
starofrancuskie

tańce z okęgu
śródziemnomorskiego



zdjęcia *pete*



Idź obok i po swojemu cd...

Co to znaczy dla dzieciaka: ministrantura po łacinie, nieszpory, Te Deum. Smak słowa poważnego, dostojnego. To jest cechą charakterystyczną mojej poezji, że szukam słów prostych, ale ukierunkowanych na sprawy ważne.

Zadebiutowałeś tomikiem poetyckim dosyć późno miałeś wtedy 34 lata.

Tak naprawdę pisałem zawsze. Ale też zawsze towarzyszyła mi świadomość trudu stworzenia języka indywidualnego - wiedziałem, że nie mówię po swojemu, że mówię jak wszyscy. To nie zachęcało do wyjścia na zewnątrz. Były też inne przeszkody - studiowałem na KUL-u, a to w owym czasie nie ułatwiało zaistnienia w życiu literackim.

Pamiętam cię gdy pod koniec lat siedemdziesiątych brałeś udział w spotkaniach literackich, turniejach jednego wiersza, istniałeś w środowisku literackim Białegostoku.

Moje wejście w środowisko białostockie wyznaczają dwa nazwiska: Wiesława Kazaneckiego i Waldemara Smaszcz. Niektórzy

mogą uznać to za przypadek, ale ja uważam, że towarzyszyła mi świadomość i umiejętność wyboru. W 1978 roku spotkałem się z Kazaneckim, który wówczas tworzył BIK. Zaproponowałem mu relacje ze szpitala psychiatrycznego. Wiesz, szpital jako metafora świata. Później jednak przeprowadziliśmy się z Choroszczy, zmieniłem miejsce pracy i planów nie zrealizowałem. Natomiast w 1980 r. zadebiutowałem jako poeta właśnie w BIK-u. Z Waldkiem Smaszczem spotkałem się na wykładzie o Liebercie, który interesował mnie od dawna; tematem mojej pracy magisterskiej była analiza czterech liryków Lieberta. Wychodząc na to spotkanie powiedziałem do żony, że mam dziwne uczucie pewności, iż jest to dla mnie przełomowy moment. Po latach sędzę, że te dwie osoby: Wiesiek, akceptujący próby poetyckie trzydziestoletniego mężczyzny i Waldek, najsurowszy - po mojej żonie - krytyk, wprowadziły mnie w białostockie środowisko literackie.

Rok '83, rok twojego debiutu tomikiem Akord nie był czasem sprzyjającym wyjściu z poezją i to poezją uwikłaną politycznie. Przypomnę ci dedykację, którą mi wówczas napisałeś: Idź wyprostowana wśród tych co na kolanach.

Akord był echem mojej determinacji i prawie szaleństwa, w które wtracił mnie stan wojenny. To było wszechogarniające doświadczenie cierpienia. Jednym z lepszych utworów tegoż tomiku są *Lamentacje* nawiązujące do biblijnych skarg Jeremiasza. Te teksty powstawały bez szansy na druk. Zostały wydane przez Wojewódzki Dom Kultury wspólnie z tomikiem *Wszystkie działa na mnie* Marka Kusiby, który - dzięki większemu stażowi i poetyckiemu, i środowiskowemu - umiał znaleźć wydawcę i namówić go do tego wymagającego odwagi przedsięwzięcia.

Czy wydanie Akordu stało się wydarzeniem?

Recepcja w gruncie rzeczy była żadna. Ukazała się jedna recenzja obśmiewająca autora. Dopiero po latach ukazało się inne omówienie, w którym recenzentka napisała, że poezja Binkowskiego jest poezją poznania; pisząc twórca dokonuje rozeznania rzeczywistości. To mi się podobało.

Z twojego ostatniego tomiku Głosy z pustyni zniknęła polityka. Jedynie dyskretna obecność Polski w wierszu zamykającym tomik przypomina jej burzliwą obecność w Akordzie.

Sprawa ojczyzny była dla mnie głębokim przeżyciem. Studia na KUL-u były kiedyś wyborem politycznym. Od początku nie chciałem wchodzić w system, ale iść obok i po swojemu; był to świadomy wybór osiemnastolatka.

To że przesunęły się akcenty w mojej twórczości, wynika i z sytuacji Polski, przed którą po 89 roku otworzyły się nowe możliwości, i z biografii - jestem czterdziestoparoletnim mężczyzną i z innej perspektywy patrzę na doświadczenia życiowe. W *Głosach z pustyni* mówię o człowieku, który w gruncie rzeczy mimo upływu wieków nie zmienia się; jest zawsze sam ze swoimi nadziejami, z miłością, błędami, czasem z rozpaczą i żalem. Jest dla mnie bardzo ważne, żeby po swojemu mówić o samotności - sens prób poetyckich widzę w wydobywaniu swojego głosu ze swojej samotni. Spotykałem się z takim odbiorem, że

jest to poezja człowieka starego - ja, czterdziestopięcioletni starzec...

Może nie człowieka starego, ale mędrca, co się ze starością w pewien sposób wiąże; umiejętność spojrzenia z dystansu, filozoficzna zaduma. W Głosach z pustyni zaskoczył mnie wspaniale oddany klimat tamtej ziemi, tamtych czasów.

Postawiłem hipotezę, że natura mężczyzny się nie zmienia. I uznałem, że im lepiej obuduję ją konkretem, tym bardziej będzie czytelna i wiarygodna.

Jakie to były konkrety? Były wtedy w Libii...

Tomik pisałem po powrocie, ale nie mogłem zapomnieć i uwolnić się od tamtych realiów i różnicy kultur. A więc doświadczenia niesamowitych temperatur, wiatrów, wszechogarniającego piasku. Morze Śródziemne, nad którym leży Libia, jest kilkakrotnie bardziej zasolone od Bałtyku, gdzie się wychowałem - tę sól czułem na swojej skórze. Ból oczu porażonych słońcem i piaskiem. Ile Rzymu jest w tamtym piasku! I różnice kulturowe - żona, dzieci były przy mnie bezpieczniejsze, pewniejsze. Tam musiałem zachowywać się szczególnie odpowiedzialnie. To był impuls, aby stać się też bardziej odpowiedzialnym za słowo.

Czego się spodziewasz po Nagrodzie Literackiej Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego, którą otrzymałeś za Głosy z pustyni?

Ta nagroda przyszła za późno. Już jestem w innej fazie - kończę *Drogę z Damaszku*. Kiedy powstał nagrodzony tomik miałem świadomość, że zdarzył się cud. Tak pragnąłem, żeby ktoś usiadł i w zachwyceniu porozmawiał ze mną. Owszem, może Bil-Jaruzelski dawał mi znaki, że cieszy się tym tomikiem, Joanna Kulmowa zareagowała bardzo dobrze, Jerzy Rochowiak z Torunia cieszył się tak, jakby odkrył nowego Słowackiego. Ale to wszystko. Młodzi skarżą się, że nikt nie promuje ich poezji. Ja ich poezję czytam, ale mam wrażenie, że oni nie czytają tego, co ja napisałem. To jest

moja przewaga - mogę powiedzieć, że Szczęsny zapowiada się na dobrego poetę, że Nachiło napisał kilka dobrych wierszy. Mógłbym im powiedzieć, kto pisze źle, bo to tylko bełkot i tylko bunt. To jeszcze nie jest wartość. Dla nich - egzystencjalnie - tak, dla pejzażu poetyckiego nie. Oni nie rozmawiają ze mną, a ja wiem, że mógłbym być pośrednikiem między poezją starą i anachroniczną a młodą i bełkotliwą. Wiem, co to dobra poezja, ale oni nie chcą z tego skorzystać. Mamy w Białymstoku pierwszą ligę poetycką ogólnopolską. Cieszę się z jej współistnienia, dobrzy poeci są punktami orientacyjnymi - ja się wobec nich muszę usytuować, muszę starać się pisać inaczej, określić swoją indywidualność. Ale jak się to dzieje, że w tym rankingu nie ma Elżbiety Kozłowskiej-Świątkowskiej, Anny Markowej, Stefana Kamińskiego, że nie istnieją oni w świadomości białostoczan?

Jakich masz mistrzów poetyckich?

Ciągle i zawsze Miłosza, z jego dostojnością słowa. Chciałbym tak pisać, żeby ktoś mógł mi zarzucić: ty jesteś tak samo poważny jak Miłosz.

A co ci zarzucają?

Że nie piszę dla ludzi.

Że to takie wydumane, ezoteryczne, filozoficzne?

Właśnie.

No, jesteś filozofem - ukończyłeś wydział filozofii chrześcijańskiej na KUL-u, jesteś psychologiem, reżyserem, poetą... To upoważnia cię do zabierania głosu w sprawach naszej współczesności. Co mógłbyś nam poradzić?

Wszystko co wymieniłaś nie daje mi prawa do zabierania głosu w tej materii.

A jakie rady dajesz sobie?

o, to jest dobrze postawiona kwestia. Przełomem w moim życiu było odkrycie, że jestem istotą wartościową z samego faktu zaistnienia; wraz z tą świadomością opadły ze mnie nadzieje, że to ludzie mogą mnie dowartościować, zaakceptować, uznać. Ja przecież to mam od swego prapo-

czątku, nie muszę o to zabiegać. Ważne jest rozpoznanie powołania, przestrzeni do samorealizacji.

Jest nią poezja?

Tak, ale odkrycie tego zaskoczyło mnie. Na pewnych etapach życia był dla mnie ważny teatr, psychologia kliniczna. Teraz wiem, czego brakowało siedemnastolatkowi, który siadał na kanapie i próbował skoncentrować się na pierwszych wierszykach: że trzeba się skupić na wydobyciu własnej odmierności. Każdy ma w życiu taki etap, kiedy chce się koniecznie upodobnić do innych, bo lęka się, że w przeciwnym razie nazwą go odmieńcem.

Ukończyłeś Wydział Reżyserii Teatru Lalek w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Białymstoku. Czy to profesja nieprzydatna, nieużyteczna?

Szkoła teatralna dała mi pewność w kontakcie z młodzieżą; ugruntowała w sprawności warsztatowej; dała orientację w konwencjach, literaturze, dramacie. Wiem, że młodzież nie potrzebuje prowadzenia za rączkę. Potrzebuje znaków orientacyjnych, wytyczania mapy. Wydaje mi się, że ja z moją znajomością i poczuciem dobrej poezji ćwiczę ich smak; spełniam swoje dyskretne zapotrzebowania na mędrca.

Kto ci najbardziej pomógł w rozwoju?

Rodzina. Rodzina nie daje człowiekowi stanąć w miejscu. Moje dzieci - już kilkunastoletnie - sprowadzają mnie do parteru. Byłem kiedyś zapaśnikiem; sprowadzenie do parteru to rzucenie na kolana i łokcie... Nisko, ale nie na łopatki. Żona i dzieci zmuszają mnie do realistycznego patrzenia na życie. Ostatnio zaczynają doceniać moją twórczość. Osiągnięcie tego bardzo długo trwało. - Te twoje wierszyczki - to były kolce w wypowiedziach żony. A teraz już nie. Moja żona jest pielęgniarką. Musi być realistką. I dobrym duchem. Mnie się zdarzało chodzić na palcach po ziemi i hen tam wspinać. Teraz jest dla mnie oczywiste, że spełnienie każdego życia polega na wypełnianiu przestrzeni między niebem a ziemią.

To nasze ZOO

Smętnie jakoś, szaro i pustawo przedstawia się zwiedzającym i niedzielnym spacerowiczom Białostocki Akcent ZOO u progu przedwiośnia. Wszyscy swoją wędrówkę rozpoczynają zazwyczaj od klatki z niedźwiedziem, ale niestety... Wszystkie misie, a już te futerkowe zwłaszcza, zimę przesypiają.



Thuny białostoczan, którzy latem przychodzą do Zwierzyńca, często są świadkami rozlegającego się w całej okolicy potężnego ryku. Tak zaznaczają swoją obecność lwy. Ilekroć staje przed ich klatką, przypomina mi się straszliwa historia sprzed nie tak wielu lat, o której głośno było w całym kraju. Natychmiast rozglądam się za swoimi dziećmi i łapię je kurczowo za ręce, chociaż... W tę zimową niedzielę, gdy tu jesteśmy, lwy też są nieobecne (schowały się tylko przed zimnem, czy gdzieś je wywieziono?). A i ogrodzenie broniące dostępu do lwów jest już tak solidne, że o żadnym prześlizgnięciu się nawet najmniejszego dziecka nie ma mowy.

Wokół wędrują dostojnie piękne, z dumą noszące swoje wspaniałe poroża daniela. W nadziei, że trafi im się jakiś godny uwagi kąsek, zbliżają się do kilku młodych chłopaków.

- Hej, popatrz no na tego daniela i przyjrzyj się dobrze. Też tak będziesz kiedyś wyglądał! - woła jeden z nich do swego

kumpla i wszyscy wybuchają śmiechem. Płoszą daniela.

Białostockie ZOO założono w 1964 roku. Na tablicy, która jest umieszczona - chyba od niedawna - obok budynku pracowników, widnieje informacja, że skupiono tutaj przez te wszystkie lata około 180 sztuk zwierząt obejmujących 42 gatunki. Aż trudno uwierzyć w te liczby, bo raczej skromne wrażenie na zwiedzających wywiera zawsze to nasze ZOO.

Jakby tego było mało, zaskakuje kolejną wiadomość - o tym, że każdego roku wszystkim rezydentom ZOO przybywa mniej więcej 60 sztuk przychówku. Tylko czy te dane są aktualne? Próbuje to sprawdzić, ale na teren ZOO nie sposób się dostać. Brama jest zaryglowana, a pracownika akurat wokół nie widać żadnego. Gdyby jednak tak było naprawdę, świadczyłoby to o tym, że kondycję nasze zwierzęta mają całkiem, całkiem. A to już zasługa również tych, którzy się nimi zajmują.

Co do opiekunów - wyraźnie widać, że przybyło ich zwierzętom od jakiegoś czasu. Przed wieloma boksami, choć jeszcze nie przed wszystkimi, znajdują się tabliczki z nazwami instytucji i nazwiskami osób, które sprawują patronat nad swoimi wybrańcami.

- Otrzymujemy od nich regularne wpłaty, dzięki którym jesteśmy w stanie popra-



wić warunki życia naszych zwierząt - powiedziała pani Krystyna Rudzik-Ostrowska z "Zieleni Miejskiej". - Zastanawialiśmy się kilkakrotnie nad wprowadzeniem biletów dla zwiedzających, ale ZOO jest tak usytuowane, że aby to zrealizować - należałoby wokół wybudować ogrodzenie. Jest to jednak za duży wydatek jak na nasze obecne możliwości.

Kiedy przyjdzie wiosna, w ZOO stanie skarbonka. Pracownicy liczą na to, że białostoczanie nie poskąpią skromnych, chociaż symbolicznych datków. Wszyscy przecież kochamy zwierzęta...

Anna Kowalska
fot. pete.



Czas przepływa za oknami

Doskonale wyglądasz - powiedział mi mój kolega z liceum, który po kilkunastoletniej nieobecności powrócił do kraju. Uśmiechnęłam się, ale raczej do siebie. Nie widzieliśmy się około piętnaście lat - policzyłam szybko - za następne tyle już nie usłyszę od niego tego komplementu. Spotkanie miało się ku końcowi, jeszcze tylko obietnice, że się zdzwonimy, że może jeszcze raz, gdzieś, kiedyś... ale to jak zwykle były obietnice. Rzeczywistość nie pozostawiała czasu na sentymentalne podróże w głąb przeszłości. A przecież tyle rzeczy chciałam jeszcze o nim wiedzieć. Niesamowite przygody, o których zaledwie napomknął, pobudziły moją wyobraźnię. Roilo się w nich od pachnących egzotyką krajobrazów i nazw: Gujana, Samoa, Australia... Do domu dotarłam o północy.

Następnego dnia obudziłam się z bólem głowy - całą noc sniłam o jakiejś wyspie na końcu świata, tubylcy pookucując tańczyli przy ognisku. Pamiętałam prawie namacalnie ciepły i miękki piasek plaży, palmy i pluskanie fal. Z trudem wydostałam się na powierzchnię dnia. Powitała mnie znajoma plama zacieku na suficie. - W tym miesiącu znowu nie stać cię na tapetę - powiedziała głośno do siebie. Zabrzmiało to zdecydowanie i bez zwykłej niechęci. "Tasmania, Polinezja" - kotłowało mi się pod czaszką, kiedy szłam do pracy omijając znajome wyrwy w chodniku. Później siegałam po mapy i atlasy i odbywałam swoje własne podróże, moja babska wyobraźnia dopisywała niejako na marginesie cały wątek fabularny. Dni toczyły się szybko. Nie widziałam mego ewentualnego towarzysza wypraw, ale dziwnie mi to nie przeszkadzało. Tego popołudnia miałam właśnie przenieść się do Gujany, kiedy zadzwonił telefon. Zanim usłyszałam głos w słuchawce, wiedziałam kto dzwoni. Zaproponował spotkanie w jedynej kawiarni w mieście. Gorączkowo przymierzałam ciuchy przed lustrem, czas włócił się neliłościwie wolno...

Siedział naprzeciwko wygodnie rozparty w fotelu nieznacznie krzywiąc wargi w uśmiechu, a może uśmieszku. Obserwował mnie. - Co robiłaś przez te piętnaście lat? - zapytał nagle lekkim tonem, jakby chodziło o wybór wina. Skuliłam się w sobie. Moje kilkanaście lat życia patrzyło z wyrzutem - mdłe, długie pasmo rzuconych w niepamięć dni. Zaczęłam coś bąkać, ale mój rozmówca na szczęście zmienił temat. Dopiero teraz poraziła

mnie prawda, że nie interesuje go ani jeden dzień z tego co przeżyłam. Rozzejrzałam się naprędce po swoim życiu, nudnym i zakurzonym, pokrytym szarym pyłem przejeżdżających ciężarówek, powleczonech nudą niedzielnych popołudni małego miasteczka. Wysiadujące resztki swoich dni starszki grzejące się w słońcu... On tymczasem opowiadał.

- Jesteś bardzo daleko stąd - zażartował mój rozmówca.

- Opowiadasz tak interesująco - uśmiechnęłam się - że prawie jestem tam z tobą.

- To kiedy wyruszamy? - zapytał rozbawiony.

- Pozwolisz, że uporządkuję kilka swoich spraw - starałam się utrzymać lekki ton rozmowy. - Opowiedz mi o Gujanie - podrzuciłam mu temat. Myśli zaprzętało mi nadal jego pytanie o moje piętnaście lat. Znowu ujrzałam pokój ze stosami książek po tysiącokrotnie przeczytanych, stare pianino na którym już nikt nie grał. Czas, który przepływał tylko za oknami. Jak mogłam zmarnować tyle dni - myślałam ze zdziwieniem. - A co mogłaś innego zrobić - zarechotała bezzębna starucha z obrazu Goyi - zawsze, wszystkiego się bałaś, tu masz przynajmniej poczucie bezpieczeństwa, no, przynajmniej na razie - dodała złośliwie. - Idź do diabła - wrzasnęłam do niej - nie wiesz głupia, że każdy ma swoje pięć minut w życiu? W odpowiedzi uśmiechnęła się jadowicie i dodała, że pięć minut mija szybko. Ale już jej nie słuchałam. - ... co z tobą? - dobiegło mnie z oddali - właśnie pytam, czy napijesz się jeszcze wina? - zapytał z wyraźnym wyrzutem. Bębnił palcami po stole, dyskretnie zerkając na zegarek. - Wybacz, tyle mam do załatwienia - rzucił przemaszając. Wyszliśmy na ulicę i wyjątkowo dzisiaj poraziła mnie jej brzydota. - Muszę iść, ale oczywiście będziemy w kontakcie - powiedział bawiąc się pasemkiem moich włosów.

W niedzielne, nudne popołudnie spotkałam Marię. Plotłyśmy trzy po trzy o znajomych. Kluczyłam długo, żeby wreszcie zapytać o naszego wspólnego kolegę. - Jak to, nie wiesz, że przed tygodniem wyjechał? - spytała zdziwiona. Gdzieś tam na dnie jej zdziwienia wyczułam całe pokłady złośliwej satysfakcji.

- Ja go właściwie nigdy nie lubiłam - powiedziałam lekko. Wracałam zakurzoną ulicą mijając uwieszone na płotach sąsiadki. - Te pięć minut minęło rzeczywiście bardzo szybko - pomyślałam.

Anna Gniewkowska

Noc Boscha

Wylonił się spod wiaty przystanku MPK niczym nocny żuk spod liścia. Mały człowieczek z wielką, chyboczącą na boki głową. Oddychał ciężko, jakby przed chwilą dokonał tytanicznego wysiłku. Dopiero potem dowiedziałem się, że po raz kolejny uratował świat. Oczywiście nikt tego nie zauważył, a on w swojej skromności nie chce przerażać ludzi prawdą.

Mówi, że codziennie wielka wskazówka zegara przebija mu oko; z taką intensywnością czeka godziny dwudziestą. Wędruje ulicami Białegostoku, niczym ociemniały z wysuniętym przed siebie wskazującym palcem, czasem dotyka ściany domu, drzewa, wystawowej szyby. Ludzie na ogół ustępują mu z drogi. Idzie więc pomiędzy nimi; czasem podeprze walący się dom, czasem wiatę przystanku lub pękającą szybę witryny - te wysokie mury zewnętrzne go świata.

Był studentem filozofii. Rzucił filozofowanie na rzecz fizyki. Ostatecznie nie skończył żadnego fakultetu, wstrząśnięty bezmiarem swojej własnej ignorancji. Fizyka zdała się dla niego zwyrodniałą sztuką teorii i liczb, które nazbyt daleko przekroczyły granicę człowieczego rozumu. Poza nią otwierał się obszar intelektualnych aberracji, procesy fizykochemiczne na poziomie jądrowych wybuchów, szum pędzących molekuł, przypływy i odpływy energii. I człowiek, wyciskający ze swego mózgu zatrute soki Poznania.

A czym jest moje Ja? Pytanie zadawał sobie setki razy - i wtedy gdy uciekał z uniwersytetu, i wtedy gdy obrządzał byki zarodowe w jednym z PGR-ów na rubieżach Polski, i wtedy gdy schodził ze swojej góry Karmel z palcem wzniesionym do nieba, jak z triumfującą pochodnią.

Klasztor Benedyktynów w Tyńcu obchodził wzdłuż murów trzy razy. Klasztor to wielki zespół gmachów wzniesionych na wapiennej skale. W opisie wydaje się to łatwe - obejść go, punkt na mapie, kolicie jednostajnym ruchem. W skrzywionej pamięci mego rozmówcy pozostał ślad ostrego wirażu na drodze między rozpaczą i nadzieją. Opowiada o tym po swojemu, zacinając się i gubiąc wątek. Gdy zarzucam go pytaniami, aby przywrócić chronologię zdarzeń, podnosi nagle do oczu czubek wskazującego palca, po czym z wysiłkiem składa słowa w krótkie zdania.

Popekane mury klasztoru. Brama z wąską, wykoślawioną furką. Jej przeżarte rdzą zawiasy. Trzask pękających wewnątrz żelaza atomowych wiązań. To wszystko mogło w każdej chwili obrócić się w zgli-

szcza. Trzeba było zapukać, ale kto by zapukał? A jeśli ktoś otworzy, to czy klasztor nie zawali się? Bo może opiera się on na wąskiej furcie?

Trzy razy odchodził od klasztornej bramki. Czubek palca, którym wiódł po chropawym murze obficie krwawił. Bolało to, a jednocześnie sprawiało ulgę. Uparcie opasywał mur krwawymi pręgami. Palec płonął żywym ogniem. Ale wiesz - mówi - nie zawalił się.

Wiele nocy chodzę za nim. Nie odpycha mnie, ani nie przywołuje. Jest zajęty ratowaniem świata. Kiedy odstępuje od uratowanego domu czy drzewa, uśmiecha się do mnie. Noc. Słyszymy głosy oderwane od ludzkich ciał. Mijają nas milczące postacie. Zdają się szukać swoich prawdziwych głosów: ludzie zbliżający się do ludzi, osobno głowy, tułowia, ręce. Lustra. Trzask. Noc.

Kiedyś zapytałem go, czy nie mógłby mnie podeprzeć. Powiedział, że zabierze się i za to. Kiedy przyjdzie ten czas.

GRYKA

AFORYZMY

* * *

Podążaj za światłem, ale tak, by nie zaciemniać go innym.

* * *

Okopanie się w samych symbolach nie zawsze spełnia funkcję najlepszego szańca.

* * *

Rozterka: wpuszczenie do Europy czy wpuszczenie w maliny?

* * *

Czy wiernopoddańcze kłanianie się w pas jest jedną z figur aerobiku?

* * *

Niedobór czynów, superata intencji.

* * *

Nasi bohaterowie dzielą się na tych, którzy się wybili i na tych, których wybito.

* * *

W naszej epoce klik, układów, koterii należałoby wprowadzić środki... antyprotekcyjne.

* * *

Pomnożone quantum personalnych negatywów: wielodraństwo.

* * *

Najgroźniejsze zjawisko epoki: deklaszacja sumień.

Zbigniew Waydyk

Co w prasie piszczy

Rozwój demokracji lokalnych nie mógłby odbywać się tak spontanicznie i bezpośrednio bez pewnych elementów będących podstawą każdej z form kontaktu z mieszkańcami danego regionu. Do takich należy zjawisko określone *prasą lokalną*. Spontaniczny rozkwit tego gatunku nastąpił na przełomie lat 1989-1990 i był związany z rozwojem różnych form demokracji na terenach gmin, powiatów, miasteczek. Samorządy lokalne szybko zrozumiały jak potężnym narzędziem w ich kontaktach z miejscową społecznością może być prasa lokalna, skierowana bezpośrednio do miejscowego czytelnika, pisząca o jego problemach, sukcesach i porażkach, identyfikująca się z danym regionem i jego mieszkańcami. Proces ten swoim zasięgiem objął również teren województwa białostockiego.

Pierwsze gazety pojawiły się w latach 1989-90 i najczęściej powstawały tam gdzie istniała możliwość pewnej kontynuacji tytułu mającego swoje korzenie w okresie dwudziestolecia międzywojennego lub w pierwszych latach powojennych. Jako jedne z pierwszych pojawiły się: *Gazeta Łapska*, oraz *Gazeta Sokólska* obok tych tytułów bardzo prężnie rozwinęły się *Głos Siemiatycz*, *Z Zabłudowskiej Ziemi* i *Rozmaitości (Czarna Białostocka)*. Wszystkie te tytuły istnieją do dziś i pod względem poziomu edytorskiego oraz zawartości należą do ścisłej elity prasy lokalnej naszego regionu.

Inne gminy nie kazały na siebie długo czekać. Pozazdrościły one inicjatywy tym pierwszym i uznały za punkt honoru istnienie prasy na swoim terenie. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Jak grzyby po deszczu powstawały kolejne tytuły: *Co słyhać w gminie (Kleszczele)*, *Nowiny z Gminy (Narew)*, *Głos Dąbrowy*, *Wiadomości Tykocińskie*, *Wiadomości Drohiczyńskie*, *Życie Brańska*, *U siebie (Gazeta Bielska)*, *Hajnowski Gościniec*, *Gazeta Czyżowska*, *Gazeta Juchnowiecka*, *Ziemia Sokólska*, *Ziemia Mielnicka*, *Czasopis*, *Nazukos*, *Z biegiem Sprząsli*, *Czas ziemi (Dobrzyniewo)* oraz *Gazeta w Choroszczu*. W najbliższym czasie ukaze się gazeta redagowana przez społeczność gminy Krynki. Oprócz tego istnieje kilka redakcji gazet lokalnych będącymi gazetami środowiskowymi i ukazującymi się na te-

renie Białegostoku (ale będzie to tematem artykułu w następnym numerze *Styku*).

Poziom edytorski przedstawionych tytułów jest bardzo zróżnicowany i zależy w większości od możliwości finansowych wydawców; najczęściej są nimi Urzędy Miasta i Gminy, Stowarzyszenia regionalne oraz Ośrodki Kultury działające na danym terenie. Nie każda redakcja może sobie pozwolić na komputerowy skład tekstu. Różny jest też poziom prezentowanych artykułów, nie wszystkie gminy stać na zatrudnienie profesjonalnych, przygotowanych do redagowania dziennikarzy. Najważniejsza jest jednak sama ambicja, inicjatywa, chęci do działania oraz zapotrzebowanie lokalnego społeczeństwa na ten rodzaj działalności. Na lokalnym rynku prasowym największe szanse na utrzymanie się mają te tytuły, które będą spełniać oczekiwania swoich odbiorców, mieszkańców danego terenu.

Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury w Białymstoku wystąpił z inicjatywą utworzenia Centrum Prasy Lokalnej; jego zadaniem byłaby pomoc techniczna, merytoryczna i organizacyjna. Pragniemy aby redakcje pism wiedziały o istnieniu Centrum i zakresie jego działania. W miarę możliwości oferta WOAK-u zostanie rozszerzona. Na razie pomocy udzielimy tym tytułom prasy lokalnej, które jej najbardziej potrzebują.

Co w prasie piszczy stanie się cykliczną rubryką prezentującą na łamach *Styku* najciekawsze tytuły prasy lokalnej, ich problematykę, wycinki z artykułów pojawiających się na jej łamach. Oczekujemy na głosy z redakcji tych pism do których nie udało się jeszcze dotrzeć. Zwracamy się z gorącą prośbą do wszystkich redakcji gazet lokalnych o przesyłanie na adres WOAK-u po jednym egzemplarzu każdego numeru wydawanego tytułu. Będziemy za to bardzo wdzięczni.

Korespondencję do Centrum Prasy Lokalnej prosimy kierować pod adresem: Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury, Centrum Prasy Lokalnej, ul. Kilińskiego 8, 15-950 Białystok. Kontakt telefoniczny: 328-652, 320-724 p. Krzysztof Ostaszewski.

Krzysztof Ostaszewski

Zakochani w folklorze od 35 lat

Narwianie z Pogorzałek w gminie Dobrzyniewo Duże - to zespół stary i zarazem młody. Nie tylko dlatego, że występują w nim przedstawiciele dwóch pokoleń, ale i dlatego, że ma dość specyficzną historię. Otóż w tej wsi właściwie zawsze był jakiś zespół. Można to wyczytać z pieczołowicie prowadzonej kroniki.

Teren gminy jest wciśnięty między Puszcze Knyszyńską i przedmieścia Białegostoku. Krzyżują się tu tradycje wiejskie z miejskimi. Zachowały się jeszcze stare przypowieści, tańce i pieśni. Nie zanikają dawne tradycje kulturalne, chociażby te związane ze wspólnymi pracami w gospodarstwach rolnych - wspólne omloty zboża, tłoki przy kopaniu ziemniaków, dożynki. W okresie świąt Bożego Narodzenia kolednicy chodzą z gwiazdą, szopką i herodami. Przetrwał do dziś i jest popularyzowany przez młodzież kulig zimowy, połączony z zabawami przy ognisku. Zachowały się częściowo tradycje rękodzieła ludowego - tkactwo, hafciarstwo - ale ludzi chętnych do tego jest coraz mniej.

W trosce o zachowanie kultury ludowej tutejszy zespół folklorystyczny *Narwianie* popularyzuje dziś w swoim programie dawne tradycje i obyczaje.

Członkowie zespołu - to pasjonaci folkloru. Repertuaru poszukiwali wśród starszych mieszkańców Pogorzałek i okolicznych wsi. Uratowali od zapomnienia dziesiątki pieśni i melodii ludowych z regionu podlaskiego, wiele obrzędów z lat dzieciństwa swych dziadków.

Od wielu lat *Narwianie* wykorzystują barwny folklor znad Narwi do tworzenia programów obrzędowych przypominających dawne czasy: *Przedślubny wianek*, *Wesele pogorzelskie* (było więc splatanie wianka i jego opakiwanie, sadzanie na dzieży i błogosławieństwa, przy akompaniamencie pieśni - przeważnie smutnych i rzewnych, choć nie pozbawionych swobodnego humoru) *Kądzialnica* i *Kolednicy*. Za scenkę obrzędową *Tarcie lnu* zespół zdobył główną nagrodę Festiwalu Zespołów Folklorystycznych Polski Północnej w sierpniu 1980 roku w Gdańsku - **Bursztynowy Neptun**. W 1982 roku wystawiono po raz pierwszy scenkę *Kiszenie kapusty*.
- *Przygruchaliśmy do zespołu uro-*

dziwą dziewczkę z długimi nogami - powiedział kierownik *Narwian*, Antoni Szałkowski. *Uszyliśmy bieliznę z fikuśnymi falbankami. Było co pokazać...*

Narwianie z Pogorzałek są jednym z najbardziej znanych zespołów folklorystycznych w województwie białostockim. Ciekawe teksty piosenek, skoczne melodie, dowcipne monologi i scenki z życia podobają się nie tylko mieszkańcom wsi, ale i miasta. Zespół jest ozdobą większości imprez i okolicznościowych wydarzeń w gminie Dobrzyniewo i nie tylko. Często też występuje w sąsiednich gminach, a także w Białymstoku. Na swoim koncercie ma również sukcesy na ogólnopolskich festiwalach i przeglądach zespołów folklorystycznych. Najbardziej jednak liczy się uznanie i popularność w swoim środowisku.

Członkowie zespołu chętnie zajmują się działalnością artystyczną, bo ... nudzi im się w domu siedzieć. Co ciekawe - najszybciej nudzi się starszym. Praca i gospodarstwo im nie wystarczają. Chcą mieć z życia coś więcej.

W zespole obok siebie występują ojciec z synem, matka z córką. Przeważają w nim jednak ludzie młodzi. I to cieszy. Tak miłość do tradycji i pieśni zaszczenia się następnemu pokoleniu. Młodzież z Pogorzałek kocha swój zespół, swoją wieś. A ma i godziwą rozrywkę, bo wzniesiono tu duży, nowoczesny dom kultury, w którym mieści się nie tylko zespół folklorystyczny, ale też biblioteka, czytelnia, zespoły zainteresowań.

6 lutego br. zespół *Narwianie* uroczyście obchodził 35-lecie swej działalności artystycznej. Choć to już tyle lat, członkowie są wciąż pełni radości i zapału. Śpiewają, grają, prezentują swój program z żywiołową werwą. Są pogodni i dowcipni na estradzie. W dniu jubileuszu nagrywało ich radio. Byli również dziennikarze prasy regionalnej. Koncert jubileuszowy przed liczną zebraną miejscową publicznością i gośćmi z Białegostoku był znakomity. Wspólna zabawa trwała potem do białego rana. Do tańca przygrywały kapele m.in. z Płonki Kościelnej, z Wasilkowa, *Stoneczniki* z Siemiatycz i *Kaziuki* z Białegostoku. W kulminacyjnym momencie imprezy połączone kapele gromko odśpiewały i zagrały *Sto lat!* Redakcja *Styku* dołącza się również do tych życzeń. Życie nam sto lat!

Jan Cieluszecki

Kiedy przyjedzie autobus

Amatorski ruch teatralny przechodzi kolejne wzloty i upadki, ale zespoły lalkowe trwają i działają w szkołach i placówkach kulturalno-wychowawczych. Lalki, już od wielu lat goszczą na Białostocczyźnie. Zaangażowana kadra instruktorów - lalkarzy i poparcie instytucji wspomagających pozwalają na kontynuację i dalszy rozwój amatorskiego ruchu lalkowego.

Imprezy lalkowe mają swoje stałe miejsce w białostockim kalendarzu imprez. W tym roku organizowane będzie już **XXVIII Wojewódzkie Spotkanie Amatorskich Zespołów Lalkowych**. W terenie odbywają się kolejne rejonowe przeglądy lalkarskie, a podczas konkursu **Ze zdrowiem na ty**, organizowanego wspólnie z Wojewódzką Stacją Sanitarno-Epidemiologiczną, już po raz szósty będą prezentowane spektakle poświęcone ekologii - realizujące hasła: *dbajmy o zdrowie, szanujmy środowisko, pomagajmy bliźnim i kochajmy zwierzęta*. Konkurs stara się hasła te przybliżyć dzieciom i młodzieży; nauczyć, aby w swoim dorosłym życiu kontynuowały je i umiały stosować.

Z konkursu zrodziła się kolejna inicjatywa o tematyce ekologicznej - **Lalkowy Autobus Ekologiczny**. Wybrane z konkursu **Ze zdrowiem na ty** zespoły lalkowe organizowane będą w tak zwane "teatralne trójki" i te trzy zespoły ze swoim spektaklem będą wyjeżdżać w wyznaczoną trasę. *Autobus* odwiedzi trzy miejscowości.

W każdym wyjeździe weźmie udział 35-40 aktorów-lalkarzy, a obejrzy ich 500-600 widzów. **Lalkowy Autobus Ekologiczny - nagroda** - to kolejna impreza. Jeśli szkoła, względnie placówką kulturalno-wychowawczą zawiadomi WOKA o

swojej działalności na rzecz ekologii - przyjedzie tam *Autobus* ze spektaklami. Zapotrzebowanie na takie imprezy rośnie.

To artystyczne "rozrabianie" białostockich lalek dotarło do Warszawy. Zainteresowała się naszą działalnością Polska Fundacja Dzieci i Młodzieży, która powstała przy pomocy International Youth Foundation w maju 1992 r. Głównym założeniem Fundacji jest pomoc we wszechstronnym rozwoju dzieci i młodzieży w wieku od 5 do 20 lat, dlatego działalność zespołów lalkowych na Białostocczyźnie odpowiada celom Fundacji. Między innymi przedmiotem zainteresowania Fundacji jest *poszerzenie wiedzy i profilaktyka zdrowotna, traktująca kwestię zdrowia jako sprawę społeczną*.

Kolejne założenie Fundacji mówi że *Fundacja pragnie być wszędzie tam gdzie ludziom i organizacjom działającym dla dobra młodzieży potrzebna jest pomoc finansowa, organizacyjna, szkoleniowa lub pomoc w nawiązywaniu kontaktów z instytucjami w kraju i za granicą*.

Dlatego program naszej działalności lalkarskiej został przez Fundację zaakceptowany i przyjęty do "banku informacji". Służy on promowaniu wzorów programów kulturalnych, integracyjnych, wychowawczych i prewencyjnych, sprawdzonych w środowisku.

I tak białostockie lalki pozyskały wspaniałego sponsora. Otrzymaliśmy z Fundacji poważną dotację finansową, aby **Lalkowy Autobus Ekologiczny** mógł częściej docierać do najdalszych zakątków Ziemi Białostockiej.

Swoje zainteresowanie przygodami lalkowych bohaterów dzieci starają się wyrazić za pomocą prac plastycznych, ocenianych później przez instruktorów WOAK. Ponadto młodzież próbuje swoich zdolności pisarskich tworząc pierwsze w swoim życiu bajki, opowiadania oraz scenariusze o tematyce ekologicznej. Wypada mieć nadzieję, że wszystkie te poczynania kiedyś zaowocują.

Dominika Krauze-Wójtowicz

FUNKY, FUNKY

Warszawa, początek lutego, klub Stodoła. To tu odbędą się warsztaty taneczne, prowadzone przez **Alassane Valt**. Tancerze i instruktorzy zjechali się z całej Polski. Wszyscy chcą poznać FUNKY, wszystkich dręczy niepewność: jak będzie?

Pierwsze wrażenia są mało sympatyczne: źle dokonano rezerwacji w hotelu, sala nie jest przygotowana do zajęć, zajęcia się opóźniają. Wreszcie na salę wchodzi sympatyczny pan z czarną buzią i włosami splecionymi w warkoczyki. Uśmiech, dwa słowa przywitania - i zaczynamy zajęcia. Wszyscy staramy się jak najdokładniej wykonywać ćwiczenia. Męczymy się przy tym okrutnie! Jak on to robi? Tak lekko i estetycznie...

W pewnym momencie mistrz łączy muzykę i pyta:

- Dlaczego męczycie się? Po co? Taniec jest sztuką. Nie róbcie niczego ponad swoje możliwości. Postępujcie według zasady: mniej - ale pięknie. Włóżcie w taniec swoje sere i uśmiechnijcie się!

Po raz pierwszy słyszymy takie słowa. Alassane pokazuje jeszcze raz elementy rozgrzewki, analizuje je. Łączy ćwiczenia z oddechami. Mówi jasno i obrazowo. Z radością stwierdzamy, że jest świetnym metodykiem i nauczycielem. Wnikliwie obserwuje nasze poczynania i w umiejętny sposób poprawia błędy. Tempo zajęć jest oszałamiające! Kiedy w naszych oczach widać przerażenie spowodowane ogromem pracy, Alassane uspokaja: *- Easy! Spokojnie! Mamy dużo czasu,*

będziemy analizować każdy kroczek jeszcze raz. Nauczycie się na pewno, tylko rozluźnijcie się. Dlaczego jesteście tacy spięci? Akceptujcie sami siebie, włóżcie w taniec swoją duszę. Wtedy wszystko będzie piękne.

Alassane Valt, choreograf i zawodowy tancerz, jest postacią ciekawą. Otwarty dla ludzi, ujmujący w zachowaniu, ciekawy świata. Chętnie rozmawia i dzieli się tym co umie - nawet po zajęciach, w kawiarence klubowej.

Najprawdziwszy Murzyn: matka - Polka, ojciec - Francuz. Czyż to nie dziwne? Mieszka na stałe we Włoszech. Biegłe włada czterema językami: angielskim, niemieckim, francuskim, no i włoskim. Edukację taneczną otrzymał najpierw we francuskich szkołach baletowych, potem bardziej zainteresował się tańcem jazzowym i jego "odnogą" - FUNKY.

Jest członkiem **BLACK MAGIC** - grupy, która aktywnie tworzy muzykę i taniec FUNKY. Wspólnie dużo tańczą, ruchem wyrażają swoje uczucia i nastroje.

Zapytany, dlaczego przyjechał do Polski, mówi: *- Czuję się tu potrzebny. Wiem, że w Polsce mogę dużo zrobić dla tańca i dla was. Z przyjemnością przyjadę tu znowu, jeśli tylko mnie zechcecie.*

Pięć dni zajęć tanecznych z Alassanem upłynęło błyskawicznie. Tak szybko czas płynie tylko w gronie przyjaciół. Cześć! Do rychłego zobaczenia. Dziękujemy za lekcje tańca!

Maria Gierasimiuk



fol. pote.

CZARNA BIAŁOSTOCKA

W Domu Kultury w Czarnej Białostockiej przed wejściem do gabinetu dyrektora widnieje kolorowy napis *Skleroza grozi pożarem lub włamaniem* oraz komentarz *Nie ułatwiał życia złodziejom*.

Przepisy bhp i ppoż. podane w pigułce wydają się być skuteczne, a skleroza tej kulturze samorządowej nie zagraża.

JUCHNOWIEC

W Juchnowcu w obiekcie Gminnego Ośrodka Kultury zlokalizowano centralę telefoniczną. Cywilizacyjne udogodnienia nie objęły jednak kultury. Stosuje ona nadal połączenie piesze, szeptane i przez umyślnego.

Podczas XIV Wojewódzkich Spotkań Kołędniczych wspomniałem wójtowi Zygmuntowi Korolowi o telefonicznym wynalazku. Obecni tam goście usłyszeli w odpowiedzi coś w rodzaju deklaracji o gorącej linii. Gorąca czy zimna, oby była. Czekamy na sygnał.

BIELSK PODLASKI

W czasie V Międzywojewódzkich Spotkań Kołędniczych obok grup obrzędowych z Białej Podlaskiej, Siedlec, Łomży, Suwałk i Białostoczyny wystąpiły dwa zespoły polskie z Litwy. Spektakl teatralny w 5 odsłonach przedstawił Zespół *Rukojnie*; Heroda grał autentyczny ksiądz. Zainteresował mnie dialog króla ze śmiercią:

Smierć: Jakie jest twoje ostatnie życzenie, królu Herodzie?

Herod: Nauczyć się języka litewskiego!

* * *

Herody z miejscowości Wyszoni-Kłonie z woj. łomżyńskiego zostały bardzo życzliwie przyjęte przez publiczność. Szczególną sympatią obdarzyła widowia Żyda i jego teasty.

Oto jeden z nich: Jak mi dacie dwa głosy, to was wszystkich do nieba wyniosę.

* * *

Akordeonista Herodów z Trzcince z woj. siedleckiego zegnając się z kierownictwem bursy, w której kołędnicy nocowali, przesłał obsłudze następujące życzenia:

Wszystkiego najlepszego w nowym roku, drapta się po kroku.

SUPRASŁ

Podczas specjalistycznego szkolenia dyrektorów samorządowych

placówek kultury nt. *Kultura w gminie - działania ku przyszłości*, wśród licznych problemów, jako priorytetowe sklasyfikowano:

- brak pieniędzy (tłum głosów)
- brak porozumienia z lokalnymi Komisjami Kultury (sporo głosów)
- obojętność rad gminnych wobec kultury (pojedyncze głosy)
- brak porozumienia z wójtami (jednostki).

Jednocześnie 40 animatorów kultury stwierdziło, że zaniedbanie kultury spowoduje nieobliczalne straty teraz, a potem w szczególności. Poddaje to pod rozważę wszystkim tym, którzy w wyborach samorządowych oczekują na głosy z kultury.

BIAŁOWIEŻA

Rada Krajowa Regionalnych Towarzystw Kultury pod przewodnictwem Anatola Jana Omelaniuka zorganizowała I Podlaskie Spotkanie Regionalne *Regionalizm podlaski*.

W inauguracyjnym wystąpieniu prof. Adam Dobroński, białostocki parlamentarzysta, żartobliwie nazwał Podlasie na południe od Bugu "Podróbkami". Obecni na spotkaniu regionalistów z Białej Podlaskiej i Siedlec zrewanżowali się opowieścią na temat toastu, który wznosili ich przodkowie. Brzmiał on: Za tych zza Buga.

Adam Dobroński nie replikował, ponieważ spieszył do Warszawy na posiedzenie Krajowej Rady Programowej Polskiego Radia. Wychodząc w pośpiechu z sali oznajmił obecnym, że zaczął *nienormalnie żyć od czasu kiedy został postem* i dodał: *Myślę, że to niedługo potrwa*. Oby!!! stwierdził przewodniczący spotkania, czym wywołał ogólną wesołość zebranych. Dobroński był już za drzwiami i życzenia nie słyszał. Może przeczyta.

ORZESZKOWO

Był rok 1974. W czasie gminnych dożynek za sprawą Rościsława Miśiejuka powstał Kobiecy Zespół śpiewaczy *Orzeszki*. Po 20 latach, w Orzeszkowie odbyły się uroczystości jubileuszowe zespołu z udziałem Aleksandra Usakiewicza - wicewojewody białostockiego. Założycielka *Orzeszków* Nina Owerczuk w retrospektywnej wypowiedzi zaakcentowała motywację śpiewania podkreślając, że chętniej śpiewają ludzie biedni.

Wręczając jubilatowi dyplom i upominki od naszej instytucji dodałem od siebie, że *biedni ci bogaci, którym śpiew przeszkadza*.

O tym, że samorząd decyduje teraz o wartości kultury wiejskiej mogą przekonać się obecni na uroczystości, słysząc decyzję wójta gminy

Hajnówka Olgi Rygorowicz o przyznaniu *Orzeszkom* kwoty 10 mln zł Minister Kultury i Sztuki oraz wojewoda wystosowali tylko listy gratulacyjne. Dobre i to.

SOKÓŁKA

Hop sa sa. Hop sa sa. Czy kto uidiął bez pcheł psa śpiewała Iwona z rodziny Ryszkiewiczów podczas XII Spotkań Rodzin Muzykujących. Najmłodsza, 4-letnia Iwona losowanymi przez siebie upominkami obdarowała rodziny z Dąbrowy Białostockiej, Iwanówki, Brzozowa, Gródka, Czeremchy, Wasilkowa, Białegostoku i oczywiście z Sokółki. Grano i śpiewano melodie polskie, ukraińskie i białoruskie. Za największy talent uznaliśmy młodego skrzypka z tatarskiej rodziny Szczęsnowiczów.

Najliczniej na estradzie w kawiarni *Lira* Sokólskiego Ośrodka Kultury stawili się domownicy Chomutowskich i Ostapczuków. W gronie organizatorów powstał pomysł, aby na 13 spotkanie zaprosić *Dinozaur* domowego muzykowania, a także *Brontozaury* białostockiej kultury. Nad całością zgodziła się czuwać Elżbieta Ceglarska, matka muzykujących rodzin. Na poszukiwanie naszych przodków mamy cały rok.

Brontozaury dajcie głos!

POGORZAŁKI

Jubileuszowe X Spotkania Instrumentalistów Ludowych uświetniły obchody XXXV-lecia Zespołu Regionalnego *Narwianie*.

Muzykanci z Tykocina, Brańska, Wasilkowa, Hermanówki, Płonki Kościelnej, Białegostoku i Pogorzałek na skrzypcach, harmoniach pedałowych, trzyczęstych, akordeonach i bębenkach wygrywali zbiorowo ludowe szlagiery do białego rana. Solowo grał gość z Wyszoni-Kłonie z woj. łomżyńskiego.

W trakcie prezentacji instrumentalistów wódz Antoni Szalkowski zarządził: *Grajcie i nie róbcie szumu bo Radio Białystok przyjechało FM!!!*

Rzeczywiście przyjechało i nagrało co trzeba do *Magazynu Sztuk Wszelkich*. Słuchajcie na 72,8 MHz.

KLEPACZE

Eugeniusz Topolewicz, mecenas kultury w gminie Choroszcz, zorganizował tradycyjny bal karnawałowy. Przyjechała "Wojewódzka Animacja", przywitała nas muzykująca rodzina Mielechów z Iwanówki, a *Narwianki* i *Klepaczanki* odśpiewały kuplety na cześć burmistrza Ro-

mualda Szydłowskiego, w przededniu jego imienin. Pan Eugeniusz znany jest z opiekuńczej roli nad kulturą samorządową. Zresztą o tej formie zarządzania kulturą ostatnio dużo wszędzie i głośno. Próbowałem - na własny użytek - przeprowadzić wśród ludzi, z którymi się ostatnio stykałem, coś w rodzaju sondy. Na pytanie czy mecenat kulturze jest potrzebny, w odpowiedzi usłyszałem:

Teresa Bejnarowicz (artysta plastyk) - *Mecenat nad sztuką hamuje wyobraźnię.*

Tadeusz Gajl (artysta plastyk) - *Dotacja demoralizuje artystę.*

Andrzej Dworakowski (artysta plastyk) - *Nie należy się obawiać o los artystów, których społeczeństwo chce.*

Adam Poliński (słuchacz Studium Tańca WOAK) - *Pieniądze na kulturę obowiązkowo powinny być w dyspozycji samorządów i przez*

reprezentantów podatników dzielone.

Jerzy Kopania (profesor) - *Kultura i Sztuka powinna być partnerem władz, a nie petentem.*

Andrzej Jurczyk (wójt gminy Turośń Kościelna) - *Kultura powinna być wspólna. Róbmy to, co wychodzi.*

Adam Walicki (wykładowca Fundacji Dialog) - *Teraz jest gospodarka rynkowa i kultura musi się w tej sytuacji odnaleźć.*

Jacek Grün (dziennikarz) - *Na całym świecie nikt się nad artystami nie rozczula, w związku z czym oni sami unikają tego tematu.*

Mieczysław Matosiuk (prezes Towarzystwa Miłośników Siemiatycz) - *Kto w kulturze nic nie robi, nie ma wrogów i mecenat jest zbędny.*

Józef Maroszek (dyrektor Regionalnego Ośrodka Studiów i

Ochrony Środowiska Kulturalnego) - *Podstawową zasadą kulturową na Podlasiu, o którą dbali nasi przodkowie, jest harmonia. Dbajmy o nią i my.*

Wojciech Kowalczyk (Muzeum Okręgowe) - *Drastyczne ograniczenia finansowe dotyczące kultury najbardziej zagrażają twórczości ludowej.*

Zespół kołędniczy Nereślanki z gminy Tykocin - *Żeby nasza kultura nabrała więcej siły.*

Komentarz do wypowiedzi uważam za zbyt czyny. A mój głos brzmi: Kultura narodowa i jej ochrona jest powinnością państwa. Natomiast samorządowa - obowiązkiem gmin. Może być alternatywna i prywatna, oby na odpowiednim poziomie.

Kazimierz Maksymilian Derkowski

Sylwetki, Sylwetki, Sylwetki, Sylwetki, Sylwetki,

Z kierownikiem Klubu Garnizonowego w Białymstoku kpt. Michałem Grzybkiem rozmawia Dorota Lewczuk.

Jesteś żołnierzem zawodowym, od lat zajmujesz się sprawami kultury w wojsku. Co cię pchnęło w tę stronę?

Mój związek z kulturą jest przypadkowy. Zawsze chciałem być żołnierzem. Uważałem, że w wojsku panuje bardziej usystematyzowany tryb życia. Bakcyła obowiązkowości, karności, odpowiedzialności za to co się robi złapałem jeszcze w harcerstwie. Od harcerstwa do wojska droga niedaleka. Ukończyłem Wyższą Oficerską Szkołę Wojsk Inżynieryjnych, kierunek kiedyś polityczny, obecnie wychowawczy. Wiązało się z tym objęcie funkcji kierownika klubu żołnierskiego albo instruktora wychowawczego. Zaczęłem pracować w Elku jako kierownik klubu żołnierskiego. Po trzech latach otrzymałem propozycję objęcia klubu garnizonowego w Białymstoku. Chętnie na to przystałem, tym bardziej, że żona i ja pochodzimy z tych stron.

Start miałeś więc ułatwiony.

Chyba nie, musiałem poznać środowisko i wojskowe, i cywilne związane z kulturą. Przyszło mi to o tyle łatwiej, że nie mam trudności w nawiązywaniu kontaktów. W takiej pracy to ważne.

Czym różni się praca w klubie żołnierskim od pracy w zwykłej placówce kultury, czy w ogóle można mówić o różnicy?

Teraz niczym, ale cztery czy pięć lat wstecz różnice były. Dawniej kluby garnizonowe były ośrodkami kultury służącymi kadrze oficerskiej i jej rodzinom, pracow-

nikom cywilnym wojska, no i żołnierzom służby zasadniczej. Odmienny był charakter pracy, działalność merytoryczna. W tej chwili placówki wojskowe otwarte są dla wszystkich. Każdy może uczestniczyć w dowolnie wybranej przez siebie imprezie.

Na przykład w jakiej?

Choćby balu kamawałowym czy sylwestrowym, dyskotekach, zabawach. Chętni korzystać mogą z niezłe zaopatrzonej biblioteki, pracować w kółkach zainteresowań; prowadzimy zajęcia taneczne, plastyczne, fotograficzne. Ostatnio zorganizowaliśmy dwa występy - jeden dla dorosłych, drugi dla dzieci - *Estrady Śląskiej* - bardzo dobrego estradowego zespołu wojskowego.

W tej chwili można u nas oglądać wystawę fotograficzną pt. *Stary, wojskowy Białystok*. Polecam ją, bo sądzę, iż niewiele osób wie, że w XVIII wieku mieściła się w naszym mieście pierwsza polska szkoła oficerska, na początku dwudziestego stulecia istniały tu cztery zespoły koszarowe, stacjonował między innymi 10. Pułk Ułanów Litewskich. Zainteresowanych serdecznie zapraszam.

Z jakimi instytucjami, placówkami najlepiej układa ci się współpraca? Kto ci najwięcej pomaga?

Klub Garnizonowy ma bardzo skromną kadrę etatową, co nie pozwala na prowadzenie działalności na szeroką skalę. Dlatego też współpracujemy z wieloma placówkami kultury w mieście: Miejskim Domem Kultury, Wojewódzkim Ośrodkiem Animacji Kultury, teatrami. Wiele imprez robimy wspólnie z Zarządem Wojewódzkim PCK. Dzieciom pokrzywdzonym przez los rokrocznie organizujemy Dzień Dziecka, choinki noworoczne itp. Podsu-

mowanie konkursu setnego numeru *Zaczarowanego ołówka* organizujemy 12 marca br. wspólnie z *Kurierem Podlaskim*, dr Bogumiłem Kissem, Radiem Białystok. W zabawie wezmą udział dzieci z białostockich domów dziecka, z Elku i z całego województwa. Co roku włączamy się też w akcję Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Jak w dobie rozluźnienia, humanizacji w wojsku wygląda zainteresowanie żołnierzy tym, co im proponujesz?

W momencie kiedy żołnierz ma w kieszeni stałą przepustkę, w każdej chwili może wygodnie zasiąść przed telewizorem i obejrzeć film wideo, to co dzieje się w klubie - mało go obchodzi. Minęła era konkursów, zorganizowanych zabaw, typowych żołnierskich dyskotek, nie ma obowiązku uczestniczenia. Żołnierze, podobnie jak my wszyscy, idą na łatwiznę. Wygodniej jest przecież obejrzeć film niż "męczyć się" nad książką.

Komu więc służy klub garnizonowy?

Młodzieży, dzieciom - najbardziej wiarogodnemu odbiorcy kultury. Dla nich najczęściej robimy imprezy, oni najczęściej korzystają z naszych sal i sprzętu. Świetnie układa się nam współpraca ze Szkołą Podstawową nr 14. W czasie ferii zimowych klub był opanowany przez dzieci i młodzież, rojno było jak w ulu.

Co sądzisz o życiu kulturalnym w Białymstoku?

Kwitnie. Prawie codziennie ktoś coś organizuje. Są dni, przeważnie czwartki i piątki, kiedy w mieście odbywa się i sześć imprez naraz. Dla ludzi bywających jest to mocno denerwujące. Może ktoś zająłby się usystematyzowaniem tego, np. referat kultury Urzędu Miejskiego? Ja jestem otwarty i czekam na propozycje.

Książka o polskich admiralach

Każde pojawienie się w białostockich księgarniach książki o tematyce morskiej mnie, przybyszowi z Wybrzeża, sprawia zawsze wiele radości. A tym jest ona większa, gdy odkrywa jeszcze jeden nieznany rozdział w dziejach Polski nad Bałtykiem. Oto mamy w księgarniach pracę prof. Zbigniewa Machalińskiego, historyka dziejów najnowszych Polski, specjalizującego się w zagadnieniach morskich - *Admirałowie polscy 1919 - 1950*. Przedstawionych zostało w niej szesnaście sylwetek admirałów zasłużonych w powstaniu i rozwoju polskiej marynarki wojennej.

Książka przybliżyła nam głównie zagadnienia wojennomorskie. II Rzeczypospolitej, o których w przeszłości wiele się nie pisało. Kiedy po pierwszej wojnie światowej zaczęto tworzyć siły zbrojne odrodzonego państwa polskiego, pomyślano też i o marynarce wojennej. Powołano ją Dekretem Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego z 28 listopada 1918 r. Nie posiadaliśmy wówczas jeszcze dostępu do morza, stąd też pierwsze bazy naszej floty znajdowały się daleko od morza, pierwsza w Modlinie nad Wisłą, a druga na Polesiu w Pińsku. Wraz z otrzymaniem małego skrawka wybrzeża morskiego, główna baza marynarki wojennej została zorganizowana w Pucku. W latach późniejszych znalazła się ona w Gdyni.

W zorganizowaniu marynarki wojennej zasłużyli się przede wszystkim Polacy służący wcześniej we flotach państw zaborczych, szczególnie w rosyjskiej. Wraz z zakończeniem działań wojennych i na wieść o odzyskaniu przez Polskę niepodległości wielu z nich wróciło do kraju i z miejsca wstąpiło do

wojska, prosząc o przydział do marynarki. Do nich należeli też wspomniani admirałowie, bohaterowie tej książki. Jej cezurę początkową stanowi rok 1919, kiedy pierwsi z nich wstępowali do służby wojskowej w Polsce, a końcową rok 1950, kiedy ostatni z admirałów wywodzący się z marynarki wojennej państwa zaborczego odszedł w stan spoczynku. Wszyscy rozpoczynali swoją karierę w drugiej połowie ubiegłego wieku. Pociągało ich morze, daleki, nieznany świat. Ich droga do marynarki prowadziła przez korpus kadetów, a także przez wyższe uczelnie morskie różnej specjalności.

Ci, którzy służyli w rosyjskiej marynarce wojennej uczestniczyli w wojnie rosyjsko-japońskiej i brali udział w bitwie pod Cuszimą. Przez cały czas służby nigdy nie zapomnieli o swojej tożsamości, pamiętali zawsze, iż są Polakami. Swoich rodaków spotykali wszędzie, na uczelniach morskich, wśród załóg okrętów wojennych czy też jako pracowników stoczni. I oto kiedy nadeszła długo oczekiwana chwila niepodległości, porzucili obcą służbę i podążyli do Polski.

Spośród przedstawionych w książce szesnastu admirałów, dwóch: Kazimierz Porebski i Jerzy Świrki w latach międzywojennych byli dowódcami Marynarki Wojennej RP. Pierwszy, obok spraw wojennomorskich, interesował się budową portu handlowego w Gdyni, był założycielem Szkoły Morskiej w Tczewie, sprzyjał rozwojowi rybołówstwa morskiego. W 1925 r. zastąpił go na stanowisku Jerzy Świrski, który był dowódcą Marynarki Wojennej także podczas drugiej wojny światowej, przebywając początkowo we Francji, a potem w Anglii. Obaj wcześniej służyli w rosyjskiej marynarce wojennej. Należy też zwrócić uwagę na admirała Józefa Unrunga, pochodzącego ze spolonizowanej niemieckiej rodziny ziemiańskiej. Karierę w marynarce wojennej rozpoczął w Niemczech, jednak po zakończeniu pierwszej wojny światowej zgłosił się do woj-

ska polskiego, gdzie został skierowany do marynarki wojennej. Od 1925 r. był dowódcą floty wojennej w Gdyni /istniała jeszcze rzeczna flota wojenna w Pińsku/, w 1938 roku został dowódcą Obszaru Nadmorskiego obejmującego większą część wybrzeża polskiego. We wrześniu 1939 r. kierował z Helu obroną półwyspu i całego Wybrzeża. Okres wojny spędził w obozie jenieckim. Potem w Anglii został zastępcą szefa Kierownictwa MW. Do Polski nie wrócił, umarł na emigracji we Francji. Z innych sylwetek wymienić należy Karola Koryłowskiego, wywodzącego się z Wielkopolski. Jego droga do morza wiodła przez służbę w marynarce wojennej Austro-Węgier. Tak jak inni powrócił do Polski i włączył się w organizację polskiej marynarki wojennej. Pełnił różne odpowiedzialne funkcje, później został zastępcą szefa kierownictwa MW. Dał się też poznać jako doskonały publicysta spraw morskich. Podczas wojny działał na emigracji. Na uwagę zasługują także dwaj inni admirałowie: Adam Mohuczy i Włodzimierz Steyer. Obaj po drugiej wojnie światowej włączyli się do organizacji marynarki wojennej w zmiennej sytuacji politycznej w Polsce. W szybkim jednak czasie zostali odsunięci od służby. Tragizm nie zakończyła się ona dla Adama Mohuczego, który zmarł w więzieniu.

Nie sposób tu wspomnieć o wszystkich admirałach opisanych w tej książce. Przedstawiając ich sylwetki Zbigniew Machaliński czyni to w sposób bardzo przystępny, barwny, podając wiele interesujących szczegółów z ich życia. Autor korzystał z licznych i cennych źródeł archiwalnych. Książką tą powinni się zainteresować nie tylko miłośnicy morza lecz także ci, których interesuje historia, a szczególnie najnowsze dzieje naszego kraju.

Ali Miśkiewicz

Zbigniew Machaliński, "Admirałowie Polscy 1919-1950", Wydawnictwo Bellona, Warszawa 1993, s.337, w tym ilustracje. Cena 70 tys. zł.

Czekając na gajowego

W jednym z ostatnich numerów tygodnika *Wprost* ukazał się artykuł o luksusowych rezydencjach tych, którzy w Polsce urosli w siłę i żyją dostatnio. Jednym z nich jest pan (d. towarzysz) Urban Jerzy, który pozwolił sfotografować i opisać znaczne fragmenty swej willi za około dwa miliony dolarów, jak również dwa Jaguary (ulubiona marka p. Jerzego). Środki na, było nie było, kosztowne utrzymanie bierze on głównie z wydawania poczytnego, niestety, tygodnika *NIE*, którego treść stanowi nieodmiennie opisywanie niezliczonych genialnych posunięć elit i elitek władzy od najwyższych do najniższych szczebli wywodzących się z niezłomnego styropianowego etosu, bądź z zakrystii.

Najbardziej frustrująca dla zajmującego się wiązaniem końca z końcem obywatela III Rzeczypospolitej - jest nawet nie standard życia niezapomnianego rzecznika, ale to, że nie brakuje mu materiału do pisma. Materiał nie musi być nawet specjalnie poddawany obróbce - sam w sobie jest wystarczająco atrakcyjny.

Urban sprawdził się w nowych warunkach nadzwyczajnie, proces dalszej demokratyzacji nam postępuje - więc może poprosić go, żeby został znowu rzecznikiem rządu? Skoro mamy już w wysokich władzach panów Millera, Sekulę, Jaskiernię - to dlaczego nie Urbana? Można tylko nieco ulepszyć model i puszczając ko-

mentarze Urbana pokazywać na wizji p. Wachowicz - nieznacznie jednak urodziwszą od towarzysza Jerzego.

Ja tu niczego nie zmyślam. Swoje pismo będzie miał wkrótce Krzysztof Teodor Toeplitz. Będzie to pismo o kulturze i jako takie otrzyma z Ministerstwa Kultury wsparcie w wysokości 13 mld złotych. Kazimierz Koźniewski, Wojciech Żukrowski, Zbigniew Safjan i inne filary naszej literatury już ostrzą pióra, aby zaczernić przyjazne lamy.

Dynamiczne i operatywne, powszechnie ostatnio chwalone warszawskie Centrum Sztuki Współczesnej (mające status Narodowej Instytucji Kultury, jak np. Zachęta) ma obiecać od p. Dejmka tyle samo szmalu, ale jednak komuś żal się zrobiło tych pieniędzy, bo postanowiono wyprowadzić Centrum z zajmowanego przezeń Zamku Ujazdowskiego - i może to być ostatnie wyprowadzenie. W Zamku zaś ma być osadzone Muzeum Wojska.

Dyrektor Centrum Wojciech Krukowski nie ma chyba kolegi z wojska w ministerstwie. Za pieniądze zaoszczędzone na zwyrondnialej i burżuazyjnej sztuce współczesnej proponuję otworzyć np. Centralne Studium Sztuki Aktorskiej im. Hansa Klossa - z odtwarzaczem postaci patrona w roli dyrektora, lub dorzucić jeszcze trochę tygodnikowi Toeplitza na koloro-

we zdjęcia. Dyrekcji WOAK też bym radził oddanie *Styku* w wypróbowane ręce (np. towarzysza Wakuluka) i szybkie zajęcie kolejki do ministerialnej kasy.

Do Ministerstwa Edukacji Narodowej wraca na stanowisko wiceministra Kazimierz Dera, współtwórca i wykonawca dyskryminacyjnej polityki personalnej w polskim szkolnictwie za starego reżimu itd, itp. A gdybyś o tym zapomniawszy podatkowemu to przypominam, że ty to fundujesz.

Rozpanoszona bestia postkomuny olała nawet Pana Prezydenta, co skłoniło go do potrząsania szabelką i wygłaszania różnych pogroźek i postkomunatów. Zapomina biedaczek, że słowa rzucone na wiatr - przemijają z wiatrem. Nasza prawica też na laurach nie spoczywa. Dzieli się ciągle z szybkością organizmu pantofelka i równie trudno dostrzegalnie. Czarne te czki czyści do błysku, kukły nowe robi - lody puszcza, to spławić będzie. Dobrzy chrześcijanie z Radia Maryja, rozczarowani brakiem koncesji, obrzucają Krajową Radę błotem miłości do bliźniego - i po lewicy i po prawicy wykuwa się nasz radosny dzień powszedni i świetlana przyszłość.

Przyglądając się tej energicznej krzątaninie czekam spokojnie, aż przyjdzie gajowy - i jak w starym partyzanckim dowcipie - wypieprzy tych wszystkich facetów z lasu.

Roman Blank

I ja tak myślę

Daremny żal

Paradoks historii polega na tym, że w wolnym, demokratycznym i kapitalistycznym kraju (z przewagą własności państwowej) narzekania różnych grup społecznych są o wiele częstsze i głośniejsze niż było to za komuny. Można powiedzieć, że ustrój totalitarny przy pomocy cenzury skutecznie blokował objawy niezadowolonia, ale też prawdą jest, że narzekanie miało się wtedy z sensem. Tak jak z sensem mija się złorzeczenie na złą pogodę.

Ostatnio prawie publicznie żale wylewali białostoccy plastycy. Ja chłopaków rozumiem, bo też chciałbym mieć dom, volvo i rasowego psa, ale gdzieś tam w świecie nauczyłem się, że wyżej kręgosłupa nie da się podskoczyć i na tym etapie rozwoju młodego kapitalizmu nie wszyscy mogą mieć volvo. Poza tym nauczono mnie tam jeszcze, że wszelkie niepowodzenia mające swój powód poza wyżej podanym tkwią we mnie samym, a nie w rządach Pawła

ka, Suchockiej, Bieleckiego, Mazowieckiego czyli w rękach prezydenta Wałęsy. Jeżeli dochodzę do wniosku, iż z dziennikarstwa nie jestem w stanie wyżyć, powinienem kupić sobie budę na bazarze, albo zacząć żebrać pod kościołem. Innego wyjścia nie ma.

Plastycy otóż narzekali podczas **Biesiady piwnej** zorganizowanej w *Arsenale* przez Radio Białystok i Browar, ale o tym pisano w prasie codziennej. Można tylko podsumować, że w tym systemie nikogo nie interesuje dyplom studiów plastycznych i państwo nie ma żadnego obowiązku zapewniać dyplomantom dostatnie życie.

Narzekają oczywiście także muzycy. Narzekali niegdyś na złego dyrektora i dyrygenta Filharmonii Białostockiej, w związku z czym kiedy nastął nowy i od razu dał im po kilka wolnych dni w tygodniu na pracę nad sobą, narzekać przestali. Ale nie na długo. Zawsze przecież zostaje sfera zarobków, którą - jak w górnictwie - porównuje się do sfery zachodnioeuropejskiej, nie mówiąc już o amerykańskiej. Niestety, ale i na to też nie ma rady. Można mieć oczywiście pretensje do rodziców, że nie zapewnili nam innego niż muzyczne wykształcenia, do Sowietów za pół wieku niewoli i sztucznych pieniędzy, a także do Pana Boga, że przyszło nam urodzić się w Polsce, a nie na przykład na estradzie Metropolitan Opera w Nowym Jorku. Polak potrafi znaleźć sobie

wytłumaczenie jak żaden inny obywatel tego świata.

Kilka lat temu w Białymstoku przebywał od czasu do czasu młody pianista z Nowego Jorku, który brał udział w eliminacjach do Konkursu Chopinowskiego, ale który w rodzinnym swoim mieście prowadził taksówkę. Tkwiąc jeszcze wówczas w okowach totalitaryzmu nie mogłem się nadziwić, dlaczego taki zdolny i dobrze zapowiadający się muzyk musi wozić nocą panią klientom. Pianista okazał nie mniejsze zdziwienie moim zdziwieniem i odpowiedział, że to bardzo proste: nie jest dość dobry by konkurować z najlepszymi, bo gdyby był taki dobry, to z pewnością ktoś by go zauważył. Jedyne wyjście widzi więc w jeszcze cięższej pracy, co też niczego mu nie gwarantuje, bo inni w tym czasie pracować będą jeszcze ciężiej, a poza tym nie ma gwarancji, że w tym czasie akurat nie objawi się w Juliard School of Music jakieś genialne dziecko. W związku z tym istnieje duże prawdopodobieństwo, że on - zdolny młody pianista - do końca życia będzie jeździł taksówką. A kiedy mu się to znudzi, albo klienci przestaną dawać napiwki, pójdzie grać do restauracji w niemieckiej dzielnicy.

To jest też paradoks, że słowa tego Amerykanina w pełni pojąłem dopiero teraz.

Jacek Grün

SKRYBOLANDIA

Tym razem trzy książki z różnych półek. Książki jak dziewczyny - każda piękna, każda ważna i każda inna.

Na początek powieść dla wielu czytelników, jak się modnie mówi, kultowa:

W DRODZE JACKA KEROUACA

W drodze do polskiego odbiorcy - bez mała czterdzieści lat, ale lepiej późno niż wcale. Tym lepiej, że książka nie zamieniła się w zabytek mimo, że napisana została w innym świecie. Świecie innych wartości, sposobów zachowań i wypowiedzi. Między innymi - ona ten świat zmieniła. Dzieła i sposób życia Kerouaca, Williama S. Burroughsa, Allena Ginsberga - prawdziwych bohaterów tej powieści - były tymi pierwszymi kamyczkami, które poruszyły lawinę przemian kulturowych i obyczajowych, które objęły cały cywilizowany świat.

Beat Generation, czyli beatnicy przecierali ścieżki dla nowego zjawiska: kontrkultury. Po nich przyszli hippisi, a jeszcze później młodzieżowa subkultura podzieliła się na dziesiątki odmian.

Na początek jednak było kilku facetów, którzy zamiast uczciwie pracować, odkładać na nowego cadillaca i strzyc swój trawnik - włączyli się od Nowego Jorku po San Francisco autostopem albo jakimś starym gruchotem szukając bratniej duszy, z którą można się upić, wypalić skręta z marihuaną czy, jeśli to dusza siostrzana - pójść z nią do łóżka.

Poprzez szalone podróże, szalone życie, obłądne dyskusje - próbowali poluzować gorset mieszczańskiej przyzwoitości, którzy ich dusił, szukać sensu, prawdy i tego czegoś, co trudno nazwać, a bez czego jeszcze trudniej żyć, jeśli się nie jest bezmyślnym przeżuwaczem.

Od zarania dziejów młode pokolenia buntują się przeciwko starszym, ale właśnie ten bunt wykształcił swoje sposoby wypowiedzi - choćby muzykę rockową. Wielbiciele *Guns 'n' Roses* czy *Nirwany* powinni sięgnąć po tę książkę, jako wciąż aktualną biblię zbuntowanych, a ich rodzice, żeby sobie przypomnieć ze skurczem serca jacy byli niegdyś wspaniali i wolni.

Książka Kerouaca ukazała się w PIW-ie, w serii Współczesnej Prozy Światowej.

FIOLETOWA KROWA

Jeżeli ktoś nie widział fioletowej krowy (nawet po pijaku), niechaj sięgnie po tak właśnie zatytułowaną antologię angielskiej i amerykańskiej poezji niepoważnej - sporządzoną i przetłumaczoną przez Stanisława Barańczaka. Książka zawiera 333 nastawniejsze okazy poezji niepoważnej od Williama Szekspira do Johna Lennona. Obok wymienionych - są utwórki Edwarda Leara, Ogdena Nasha, Dorothy Parker, Johna Updike'a, Carrola Lewisa - i długo by wymieniać jeszcze znakomitości literatury anglosaskiej.

Autor wyboru w nader stylowej przedmowie pisze między innymi, że "nonsensista to śmieszniejszy poeta metafizyczny". Coś w tym jest, bo rzeczywiście większość tych wierszy, oprócz pierwszorzędного dowcipu i kunsztownej formy - zawiera drugie dno, a pod nim nowy sens. Czasami w błyskotliwym paradoksie czy dowcipnym skrótce chętniej objawiają się prawdy, gdzie indziej rozwleczone na setkach pozólktych stron zapelnionych nieapetycznym maczkiem.

Prze zabawne dziełko wydało poznańskie Wydawnictwo a5.

POEZJE ZĘBRANE KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO

Być może to sprawka naciągającej wiosny, ale to zestawienie zdominuje poezja. Tym razem wiersze najradośniejszego chyba poety naszej "pięknej plejady" - Kazimierza Wierzyńskiego.

Poezja Skamandrytów przeżywa ostatnio swój renesans, między innymi za sprawą okrągłych rocznic urodzin większości z nich - setnej w przypadku Wierzyńskie-

go. Poezja wypełniła 50 lat jego życia - od debiutu w 1919 do ukończenia tuż przed śmiercią w 1969 zatem roku zbiorku *Senmara*. Zakochanemu w Polsce i pięknie polskiego języka - w niedościgniony sposób spożytkowanym w wierszach - poecie nie zaszkodziły długie lata emigracji, choć na jej początku przeżył załamanie olimpijskiej, poetyckiej formy. Tyle, że emigracja rozdzieliła jego i Lechonia z resztą wspaniałej grupy - z Tuwimem, Iwazkiewiczem i Słonimskim, rozdzieliła też na dłużej z polskimi czytelnikami. Twórczość Wierzyńskiego obecna u nas przez lata jedynie fragmentarycznie - doczekała się godnej prezentacji w białostockim Wydawnictwie ŁUK. Dwa tłuste tomy zawierają pierwsze pełne wydanie jego poezji, starannie opracowane, z bardzo obszernym posłowiem. Nadzwyczaj wysmakowana postać plastyczna (z wykorzystaniem drzeworytów Skoczylasa) czyni z tego dzieła piękny prezent na setne urodziny i ucztę dla bibliofila.

Roman Blank

K O M P A K T O W I S K O

Z nowości na rynku CD odnotować należy przede wszystkim fakt, że ceny płyt w szybkim tempie idą w górę. W zasadzie nie można kupić już niczego ciekawego poniżej 300 tys. zł, a nowości znanych gwiazd osiągają już nawet sumę 400 tysięcy. Po wprowadzeniu prawa autorskiego, kiedy zmniejszy się zapewne liczba kopii pirackich, CD szybko osiągnie zawrotną cenę pół miliona. Jednocześnie poszybowały w górę ceny kaset magnetofonowych, które ukazują się już w większości legalnie, a więc po opłaceniu praw autorskich u producenta. Polskie kasetki dochodzą do 70 tys. zł, natomiast zagraniczne do 80 tysięcy. Już zmniejszyło to rynek nabywcy, stąd nadzieją stają się wypożyczalnie płyt CD. Jeżeli oczywiście przepisy wykonawcze do prawa autorskiego nie zatrzymają i tego procederu. Jest to kolejny dowód na to, że ceny mamy światowe, a zarobki azjatyckie. Czyli powrót do dawnych czasów, kiedy to z włączonym magnetofonem czatowaliśmy na hit nadawany przez radiową "trójkę". Gorzej, że coraz częściej prezenterzy radiowi - to też wynika z umów międzynarodowych - psują utwór jakimś tekstem na początku, albo tuż pod jego koniec.

No ale skepy z CD pełne są jak zwykle i pojawiło się w nich kilka nowości, które warto polecić, choć oczywiście nie wszystkim.

* * *

CHRIS REA: ESPRESSO LOGIC

Znawców ta płyta rozczarowała, chociaż dla miłośników aksamitnego głosu i smutnej gitary nie ma to znaczenia. Kilkanaście utworów, z których kilka próbowano lansować - choć bez efektu - brzmi jak popluczyny po *The Road To Hell*. Tu rzeczywiście można odnieść wrażenie, że Chris Rea przez cały czas śpiewa jedną i tę samą piosenkę, chociaż w różnych rytmach. To nigdy nie była muzyka do wsluchiwania się; raczej subtelny podkład na prywatkę, mruzcando towarzyszące jeździe samochodem, ewentualnie

- ale to wyjątek - jeden czy dwa przeboje do nucenia. Poszukiwaczom wrażeń artystycznych płytę odradzam, chociaż fanów i tak nikt nie przekona.

* * *

BUDDY GUY: STONE CRAZY

Płyta słynnego wokalisty i gitarzysty bluesowego z czasów, gdy nie był on jeszcze gwiazdą psutą przez producentów, domagających się muzyczki wyciszzonej, gładkiej i lekko wpadającej w ucho. A niestety wielu producentów niszczy w ten sposób najlepsze talenty, żeby wspomnieć o niektórych chociażby popowych płytach B.B. Kinga. Płyta *Stone Crazy* nagrana została w 1979 r. we Francji, jako koncert bez publiczności. Dzięki temu nie ma na niej nakładek, syntezatorowych efektów i całego tego komercyjnego bajeru, który z bluesa czarnych robi biały rock and roll. Buddy Guy był wówczas postacią nieznaną, ale szanowaną w Europie, stąd pozwolono mu grać to, co naprawdę lubi i robi dobrze. Mamy tu więc sześć przejmujących spokojnych bluesów, których nie usłyszymy w tej formie już na następnym, amerykańskim płytach dla białych. Rarytas dla koneserów.

* * *

MARK KNOPFLER: SCREEN PLAYING

Inny jeszcze Mark Knopfler z *Dire Straits*. Tu już raczej jako poważny kompozytor muzyki filmowej. Na płycie znalazły się obszerne fragmenty ścieżek dźwiękowych z takich głośnych filmów jak: *Local Hero*, *The Princess Bride*, *Call* i *Last Exit to Brooklyn*. Niektóre utwory gra orkiestra, inne sam kompozytor z towarzyszeniem małego zespołu. Nic nadzwyczajnego, ale duża frajda dla badaczy dziejów Knopflera i jego legendarnej grupy.

Mr CD

DRODZY WIDEOMANI!

Chciałbym zaproponować Państwu obejrzenie kilku filmów z kaset, które w ostatnich tygodniach pojawiły się na rynku wideo. Na miesiące zimowo-wiosenne polscy dystrybutorzy jak co roku przygotowali wiele interesujących propozycji. Oto te najbardziej wartościowe, wybrane z bogatej oferty:

Trzy serca

to kameralna, piękna opowieść o miłości, okrzyknięta przez krytyków romansem lat dziewięćdziesiątych. Bohaterami filmu polskiego reżysera Jurka Bogayewicza są młodzi nowojorczyki: dwie kochające się kobiety i przystojny, dobrze zarabiający żigolak. Co połączy ten przedziwny trójkąt, dowiecie się Państwo oglądając ten fascynujący komediomedial, w którym reżyser połączył wielowątkową akcję w jednolitą, barwną opowieść. Wspaniałe kreacje aktorskie stworzyli: Kelly Lynch, Sherilyn Fenn, William Baldwin.

Kolejnym filmem, który warto zobaczyć jest niewątpliwie

Reporter

Howarda Franklina. Popisową rolę stworzył tu niewysoki acz ogromnie przebojowy Joe Pesci. Odtwarza on postać niezwykle przebiegłego, dociekliwego, a co za tym idzie natrętnego fotoreportera, dla którego nie ma sytuacji niemożliwych oraz miejsc, w których nie da się błysnąć fleszem. Bohater opowieści pragnie pomóc pewnej kobiecie w jej życiowym problemie. Nie przypuszcza jednak, że będzie to początek wielkiej afery. W roli bezbronnej wdowy wystąpiła Barbara Hershey. Polecamy!

Bodyguard.

Któż nie słyszał o filmie, w którym tak pięknie śpiewa W. Houston, a ochrania gra K. Costner. Jeżeli lubicie państwo dobrą muzykę, dwie wyżej wymienione gwiazdy, trochę emocji i wzruszeń, to nie pozostaje mi nic innego jak zaproponować obejrzenie filmu Micka Jacksona *Bodyguard*.

Na koniec coś dla miłośników fantasy. Czy pamiętacie państwo *Człowieka-nietoperza*, walczącego ze złowieszczym Joke-rem? Jeżeli tak, to proponuję obejrzenie kolejnego losy skrzydlatego herosa w superprodukcji Tima Burtona

Powrót Batmana.

Gothom City znów jest w niebezpieczeństwie. Czy jego mieszkańcy poradzą sobie z okrutnym Pingwinem i przebiegłą Kocią? Nie zdradzę odpowiedzi na te i inne pytania. Wielkie, wspaniałe widowisko, rozmach produkcji i efekty specjalne. Doskonała muzyka. W obsadzie gwiazdy pierwszej wielkości: Danny de Vito, Michelle Pfeiffer i oczywiście Michael Keaton. To się ogląda!

W następnym numerze *Styku* - wiosenne przeboje na kasetach wideo.

Oprac. Krzysztof Derkowski

W pędzącym pociągu, wśród rwanych krajobrazów pozornie tych samych, mijanych w pośpiechu, jakby na samym początku na zapomnienie skazanych, może czasem zatrzymać wzrok las cherlawy, który po kilku miesiącach niewidzenia jakby podźwignął się resztkami sił aby zasłonić sobą eternitowo-silikatowe wsie, rozpasane bogactwem na niby - bolesne w swojej szarzyźnie i nijakości. Strzelają w niebo wśród przyprószonych śniegiem pól, skutych mrozem, opasane metalowymi parkanami dostojności betonowe domy-bunkry; teraz jakby szarzały i przestały być dumne jak dawniej, zawstyżone swoim własnym wstydem przed drewnianymi domami pełnymi harmonii, finezji, jakiejś niedocieczonej dobroci i spokoju...

W pędzącym pociągu wzrok ucieka od przygotowanej papki gazetowej, od nieszczęść i pławiących się w nich dziennikarskich ekspia-

buje je pozbierać, na powrót po składać w tamten czas. I raptem rojno od zdarzeń, powracają tamte zdania, twarze stają się bardziej wyraziste, pełne życia i młodości... I choć pociąg pędzi jednakowo postukując o szyny jakby w rytmie złowieszczej kołysanki, nagłe hamowanie przywraca inną kolejną rozpamiętywania. Raptem ogarnia przerażająca świadomość, że jest to ucieczka od domu, od rodzinnych progów, pełna narastającej tęsknoty, jakichś niesprecyzowanych obaw, niepokoju nieugaszonego. Przecinanie krajobrazów w rytmie stukających kół: dalej, dalej, dalej, jakieś nieludzkie wofanie. Próbuje jeszcze raz łowić tamte z młodości obrazy, próbuje na powrót toczyć niekończące się rozmowy, próbuje odtwarzać tamte przedziały wagonów ze stanu wojennego, kiedy nieśmiało z początku kwitła anegdota a później się rozrastała obejmując wszystkich wspólnotą i zrozumie-

Z zapiśnika

cji. I zdawać by się mogło, że czas się zatrzymał a może zmęczenie, ból gdzieś głęboko pękający daje o sobie znać - i choć w pędzie pociągu nie wywołuje tamtych krajobrazów młodości jako antidotum na niepokój wywołany bólem; nie wywołuje tamtych akademików, uniwersytetów, tamtych ludzi dla których gnany pośpiechem i planami na przyszłość budowałem zdania sumujące świat i zachodzące w nim zjawiska, pisałem wielce napuszone artykuły, eseje, rozprawy... A las karłowaty jakby podrosł, wspiął się na palce na obrzeżach kolei i jakby się postarzał. A ja widzę dobrą twarz profesora Hernasa, nieżyjącej pani Gabi Frydrychowicz, która do Wrocławia przeniosła swoją lwo-wską serdeczność i do Lwowa pewnie po śmierci powędrowała oplakując swoją samotność i swój los wygnańca. W pędzącym pociągu, w kilku godzinach remanentów myślowych a serdecznych zarazem, twarz Joli - dzisiaj pewnie pani profesor wielkiego uniwersytetu, która potrafiła między formułki semiotyków szkoły tartuskiej włożyć wiele radości i szaleństwa dziewczęcego. Potem twarze Jurka Jastrzębskiego, Jasia Drzeżdżona i wiele innych, dzisiaj namaszczonej powagą dorobku życiowego, mądrości, stanowisk. Niektórych z nich czas zatrzymał przenosząc na drugą stronę życia, zostawiając niedokończone manuskrypty powieści, listy z propozycją spotkań, jakieś karteluski z projektami mądrych rozpraw. W pędzącym pociągu pró-

niem. Ale raptem, jak zza pazuchy pojawiły się nieproszone twarze. Oddalam ich widok. Wpadam w jakiś zaległy tekst: *Dekret wydany 28 lutego 1918 roku przez Wolny Związek Anarchistów miasta Saratowa zgodny z postanowieniem Kronszladzkiej Rady K.R.S.D. w sprawie zniesienia prywatnego posiadania kobiet. W paragrafie pierwszym zapisano: Od dnia 1 Maja 1918 roku znosi się prywatne posiadanie kobiet, mających od 17 do 32 lat życia. W paragrafie drugim: Na podstawie niniejszego dekretu wszystkie kobiety przestają być własnością prywatną i stają się własnością ludu. W paragrafie czwartym: Byli mężowie i właściciele mogą niezależnie od kolejki używać swych żon. Uwaga: w razie gdyby były małżonki stawiały jakiegokolwiek trudności, traci prawo użytkowania kobiety. W paragrafie siódmym: Wszyscy mężczyźni mają prawo nie częściej jak trzy razy tygodniowo postugiwać się w ciągu trzech godzin jedną kobietą zachowując warunki niżej wyłuszczone.*

A dalej o obowiązku comiesięcznym badania krwi i uryny jak również i o tym, że ci którzy nie zasto- sują się do wymienionych paragrafów - zostaną rozstrzelani.

Pociąg gna w horyzont - jakiś raptem przerażający strach wychy- nął z kąta wagonu z pytaniem: w jakim kierunku pędzi ten pociąg, przez krajobraz i czas...

Jan Leończuk

Co było i będzie

Pięć lat minęło od Jego śmierci. Ale w pamięci przyjaciół i ludzi ceniących Jego poezję jest zawsze obecny. Potwierdzeniem tego faktu były: Międzynarodowa Sesja Literacka "Wiesława Kazaneckiego sztuka ocalenia" i "Wieczór wspomnień" - zorganizowane 25 lutego przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną i Oddział ZLP w Białymstoku oraz wydawnictwo "Łuk".

Blżej Wieśka

Już przed godziną jedenastą tłok był taki, że trudno było pomieścić płaszcze w szatni, a gospodarze starali się - w Niemalęj przecież czytelnicy - znaleźć miejsce dla wciąż przybywającej publiczności. I to w większości publiczności nastoletniej. Czy już zanurzonej w legendzie Wieśka, czy poszukującej nowego idola? I czy program sesji przybliżył im Kazaneckiego jako człowieka i poetę?

Waldemar Smaszcz w "Przemianach poezji Wiesława Kazaneckiego" postawił tezę o zmianie w ostatnich utworach perspektywy w widzeniu świata i posłaniu poezji: Wiesław odrzucił poezję jako sztukę, chciał pisać tak, aby nie zaprzęścić znaczenia słów. Stąd brała się jego pokora wobec języka i przekonanie, że po zagładzie świata pozostanie dobroć i poezja. Od postawy poety-twórcy Kazanecki doszedł do sformułowania "Twoje są nasze wiersze", a tym samym wpisał się w sytuację kulturową sygnowaną przez Lutosławskiego i Miłosza: twórca jest nikim - zapisuje to, co dyktuje mu Stwórca.

Inną przemianą w twórczości Kazaneckiego było przejście od pozycji obserwatora z dystansu do emocjonalnego zaangażowania w sprawy świata.

Wykład dr Piotra Wróblewskiego na temat <Metaforyka "Listu na srebrne wesele"> był nieporozumieniem. Mówił bowiem nie o odmienności i niepowtarzalności twórczości Kazaneckiego z ostatniego zresztą przygotowanego przez niego przed śmiercią tomiku (wiersze do żony na zbliżające się 25-lecie ich małżeństwa) ocenionego bardzo wysoko przez krytyków lecz o gramatycznych zawilościach.

Na szczęście Wilhelm Przeczek z Czech, który zaprzyjaźnił się z poetą na studiach na WSN-ie w Opolu, przeczytał kilka interesujących listów Kazaneckiego. Oprócz codziennych, zwykłych spraw jest w nich zawartych sporo uwag poety na temat jego twórczości. Bardzo często pojawiają się sformułowania o nadrzędności i ważności twórczości: "Twórczość artystyczna jest najwspanialszym zajęciem, które może wybrać człowiek", "liczy się tylko pisanie",

"o pisaniu marzę najczęściej" (to z okresu, kiedy Kazanecki budując dom nie miał czasu na twórczość), "pisanie to kreacja świata ze słów, trwałych jak cegła".

Osobowość Wiesława, jego twórczość, wpływała także na ludzi, którzy go nie znali. O doświadczeniu dzięki wierszom Kazaneckiego do zrozumienia poezji jako świątyni, duchowej pełni mówił poeta z Ukrainy Stanisław Szewczenko.

Tego samego dnia na wieczorne wspomnienie o poecie grono przyjaciół z czasów studencko-opolskich i białostockich dzieliło się z przybyłymi własnym obrazem człowieka: studenta "dekadenta, który w dzień śpi, a w nocy pisze wiersze i czyta Baudelaire'a; białostoczanina, który kochał swoje miasto, ale nie żałował mu słów gorzkich. I wiele anegdot - ciepłych, serdecznych - bo jak potwierdziła żona Halina, Kazanecki miał ogromne poczucie humoru, dyskretne, pogodnego, pozbawionego zjadliwości.

Portret Wiesława uzupełniła Irena Jun prezentując - z maestrią, która wywołała podziw publiczności - wiersze z tomu właśnie wydanego przez wydawnictwo "Łuk", a obrazując drogę artystyczną poety od "Kamienia na kamieniu" po "Wiersze ostatnie".

O tym, że poezja Kazaneckiego jest zrozumiała i czytelna dla dzisiejszej młodzieży, można się było przekonać słuchając jego utworów śpiewanych i granych przez uczniów liceum - bezpretensjonalnie i z uczuciem.

Myślę, że najlepiej oddaje sens spotkania i przypomnienia poety przez wielu, wielu ludzi (Bogusława Zurakowskiego, Nikosa Chadzinikolau, Anny Markowej, Jana Leończuka, Ks. Czesława Gładczuka, Elżbietę Łagunionek, Krystynę Konecką) stwierdzenie Stanisława Srokowskiego: "Każdy z nas ma Wieśka takiego, jakiego poznał; patrzymy na niego z różnej perspektywy, pozostawiliśmy w sercach ludzi różny obraz. Widzimy jego zmieniającą się sylwetkę w optyce duchowej, moralnej i osobowej. Jest dzięki nam i w nas Wiesiek zwielokrotniony".

(I)

Wszystko wskazuje na to, że marzenia Julitty Sienkowskiej mają duże szanse na realizację. Galeria Sienkowskich stała się bowiem nie tylko galerią, ale miejscem spotkań poetyckich, literackich, a ostatnio nawet teatralnych.

Nikos - Polak od piętnastego roku życia

W ostatni czwartek lutego znany białostocki teatr amatorski **Klaps** zaproponował przybyłym gościom poetycką wędrówkę po wnętrzach galerii:

Chodźcie więc tutaj, do pięknej świątyni, gdzie rośnie sławny święty gaj jabłoni, a sprzed ołtarzy unoszą się w niebo dymy kadzideł.

...
Chodźcie więc tutaj, gdzie z upajającą radością, naturalnie Afrodyta rozlewa hojnie boski złoty nektar w czary złociste.

Tak ustami urodziwych "klapsiaczek" zapraszała wszystkich Safona, której posąg widnieje u wejścia do *Sienkowskich*. Jej właśnie - owianej legendą greckiej poetce - poświęcona była pierwsza część tryptyku zaprezentowanego przez **Klaps**.

- Program, który dzisiaj pokazujemy po raz pierwszy, przygotowany został specjalnie dla galerii. Związany jest on więc tematycznie z tym, co się u *Sienkowskich* znajduje - powiedziała reżyserka i szefowa **Klapsa Antonina Sokółowska**. - Będziemy go tutaj prezentować jeszcze przez jakiś czas przy okazji kolejnych "Czwartków".

Gościem tego **Czwartku** był **Nikos Chadzi Nikolau**. Właściwie trudno powiedzieć - Grek mieszkający w Polsce czy Polak od piętnastego roku życia? Tyle bowiem miał lat gdy po wojnie domowej, która ogarnęła Grecję w latach 1946-49, przyjechał jako uchodźca do Polski. Trafił do nas przypadkiem; jego rodzina rozproszyła się po świecie, część rodziny powróciła do Grecji. On został w Polsce, zamieszkał w Poznaniu i skończył tam polonistykę. Faktem jest, że mówi po polsku jakby się tutaj urodził, a na dodatek posługuje się pięknym, dosyć wyszukany słownictwem. Wszystkich szokuje wręcz informacją, że Nikos przez trzydzieści lat uczył w liceum języka polskiego.

Jest nie tylko znanym w Polsce poetą, ale również tłumaczem z literatury greckiej. Na pierwszy rzut oka widać, że - wyglądający zresztą trochę na południowca - Nikos jest człowiekiem szalenie aktywnym i posiadającym olbrzymi temperament.

Opowiada o sobie ze swadą i humorem. Najpierw - o swoich związkach z naszym miastem. Okazuje się, że Nikos był dobrym znajomym Wiesława Kazaneckiego - przyjechał bowiem do Białegostoku w związku z sesją poświęconą twórczości Kazaneckiego, a zorganizowaną przez Bibliotekę Wojewódzką. Jego wizyta u *Sienkowskich* odbyła się więc niejako "przy okazji".

Jak to się stało, że został poetą? - *Prawie co drugi Grek jest poetą!* - mówi z dumą. Jeśli się patrzy na Nikosa, człowiek jest w stanie w to uwierzyć.

Dużo opowiada o swoich związkach z poezją Safony. Przetłumaczył na polski jej *Pieśni*; podobnie jak *Greka Zorbę* - słynną powieść Nikosa Kazantzakisa, *Afonyzmy Greków*, *Antygonę* So-

Co było i będzie

loklesa, *Bajki* Ezopa. Teraz pracuje nad *Erotykami Greków* oraz *Iliadą* Homera. O przetłumaczeniu *Iliady* zdecydował fakt, że w Polsce istnieje to dzieło w takim kształcie, jaki nadał mu Ksawery Dmochowski tłumacząc *Iliadę* z francuskiego w 1798 roku. - *Kiedy tego dokonam, będzie to dzieło mojego życia* - powiedział Nikos o *Iliadzie*.

Chodzinikolau pisze i wydaje dużo wierszy. Mówi, że *wszystko co istnieje jest obok nas. Jedynie to co kochamy jest w nas*. To tłumaczy, skąd w jego poezji wziął się tak wyraźnie obecny kult miłości i piękna. Jego twórczość - jasna, pełna słońca, pozbawiona mrocznych zakamarków - jest mocno związana z kulturą antyczną. Dzięki temu pełna jest tak istotnej dla greckiej kultury harmonii.

Nikos będąc pisarzem polskim nie przestał być uznawany również w Grecji (jest zresztą obywatelem obydwu krajów). Trudno wprost przecenić jego zasługi dla przybliżania jednego kraju - drugiemu: w Polsce założył Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Greckiej, a w Grecji - Grecko-Polskiej.

Na miejscu do kupienia (za raczej skromną cenę) były niektóre tomiki poezji Chodzinikolau i niektóre pozycje przez niego tłumaczone. Do domu można więc było wrócić z częścią pracy Nikosa i niebanalną dedykacją, przez niego złożoną.

Była to moja pierwsza wizyta w Galerii Słędzińskich. Trzeba przyznać, że to spotkanie trwało dosyć długo, ale nie patrzyłam na zegarek.

Anna Kowalska

4 lutego br. po siedmiu latach przerw mieliśmy okazję obejrzeć filmy, których nie można zobaczyć na ekranach kin. Mowa oczywiście o Wielkim Przeglądzie zorganizowanym przez Amatorski Klub Filmowy Projektor działający przy Wojewódzkim Ośrodku Animacji Kultury w Białymstoku.

Projektor zaprezentował

Projektor istniejący od 1957 roku swego czasu był jednym z prężniejszych ośrodków filmowych w kraju. Powstały tu takie tytuły jak choćby *Misterium*, *Łykend*, *Szyny*, *podkłady*, *tory* i wiele, wiele innych. W sumie prawie 50 filmów. Członkowie klubu zdobywali nagrody na prestiżowych festiwalach filmowych w Argentynie, Austrii, Niemczech. W powstanie i rozwój Projektora najbardziej zaangażowani byli: Anatol Zdrodowski, Stanisław Boczoń, Marian Jarosz, Tadeusz Słobodzianek, Mirosław Puciłowski.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych klub organizował festiwale filmów dokumentalnych ph. *Publicystyka*.

Niestety po roku '87 na tak wielkie przedsięwzięcia zabrakło pieniędzy, a może po prostu ludzi, którzy chcieli by je organizować. Oczywiście fakt ten nie oznacza, że zaprzestano też filmowania. Prace na planach trwały w dalszym ciągu, pomimo trudności finansowych i typowo technicznych. Namacalny tego dowód mogliśmy oglądać w sali audytorijnej Dziecięcego Szpitala Klinicznego.

Wszystkie pokazane dwadzieścia trzy tytuły powstały w latach 1989-1994. Dwunastu autorów zaprezentowało reportaże, dokumenty, impresje i filmy fabularne. Było tu i autorskie spojrzenie na rzeczywistość, tożsamość, alienację i obserwacja kameralnych zdarzeń, psychologia, naturalizm i brutalność, humor i powaga, prawda i fikcja.

Najdłuższy film przeglądu pt. *Annabel* pokazał Jędrzej Pogorzelski - student prawa filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku.

Piotr Ponikwicki - pracownik Komendy Wojewódzkiej Straży Pożarnej zaprezentował aż siedem realizacji. Znalazł się tu i reportaż z pożaru i film o usuwaniu skutków rozbicia się cysterny z chlorem, opowiadanie o dzieciach ze zlobka, a także krótka obserwacja reakcji widowni cyrkowej.

Wśród filmów przedstawionych przez Cezariusza Andrejczuka znalazł się dokument *69 minut z życia*. Ten wierny zapis zabijania barana, uznano za najbardziej wstrząsający film przeglądu.

Sławomir Wyspiański zaprezentował film opierający się na luźnej koncepcji reportażu. Czterdziestominutowa całość *Wciąż żywej Grabarki* wyłoniła się z dwudziestu godzin materiału zdjęciowego.

Najmłodszy autor - siedemnastoletni Sebastian Chondrokostas pokazał impresję filmową o charakterze clipu muzycznego, symboliczny proces narodzin i rozpadu miłości, kontrast młodość - starość. *Elegia o miłości* to protest przeciwko zaprzeczaniu szczęścia i uczucia.

68,5 MHz - zabawny reportaż o radiu Akadera to praca Norberta Skutnika. Autor twierdzi, że pomimo, iż film nie jest nadzwyczajny, to w pewnym stopniu zaspokoił jego ciekawość odnośnie robienia scenariusza, montowania zdjęć itp.

O filmie Piotra Surmaczyńskiego *Pierwszy krok w chmurach* na motywach opowiadania Marka Hłaski Robert Samot powiedział: *jest to czytelne, odautorskie przeniesienie rzeczywistości lat pięćdziesiątych na realia lat dziewięćdziesiątych. Twórca operując subtelną parafrazą, osadza akcję we współczesności, używając specyficznej, nieco ascetycznej formuły. Ale skromność środków doskonale służy odbiorowi filmu.*

Tomasz Olchanowski i Jan Turonek to autorzy filmu pt. *Inżynierowie genetyki*, filmu, który jest wyrazem zadziwienia mechanicznością codzienności, próbą oderwania się od jednowymiarowej rzeczywistości.

Swoje filmy na przeglądzie pokazał również autor nie związany z AKF Projektor - student Nauczycielskiego Kolegium Języka Angielskiego - Piotr Krzywiec. *U2 Mania* to materiał o irlandzkiej grupie rockowej U2 i spotkaniu autora filmu z zespołem w Rzymie. Za zestaw video klipów o U2 Piotr Krzywiec i Jacek Porzeziński zdobyli pierwszą nagrodę w konkursie zorganizowanym przez MTV pt. *Zrób film o swoich idolach, a my zabierzemy cię do innego świata*. MTV zorganizowała Białostoczanom podróż do Włoch i wspólny występ z zespołem na scenie podczas koncertu.

Ostatni film przeglądu to realizacja Krzysztofa Jackowskiego przy współpracy z Piotrem Krzywcem i Piotrem Gromko pt. *Farsa kosmiczna*. Reportaż z planu filmowego *Krwawej rozgrywki* pokazuje całą masę wpadek, zabawnych zdarzeń i po krótko streszcza historię inwazji kosmitów na ziemię w 1945 roku.

W finale prawie sześciogodzinnego maratonu publiczność wybrała najlepszego autora przeglądu - został nim Piotr Surmaczyński. Swoje nagrody wręczyli także przedstawiciele *Gazety Współczesnej* i *Radio Białystok*.

Wielki Przegląd nigdy by się nie odbył, gdyby nie jego pomysłodawcy i realizatorzy: Mirosław Puciłowski i Jerzy Zińczuk oraz firmy, które wyłożyły na cel ten pieniądze: Avalo, Video-fan, Mr BiM, hurtownia video "Foto Mix", Lech, hurtownia "Wiki", biuro podróży "Prima", dyrekcja Dziecięcego Szpitala Klinicznego, Radio Akadera oraz Wojewódzki Ośrodek Animacji Kultury w Białymstoku.

Czy warto robić w przyszłości imprezy tego typu? - to pytanie zostawiam czytelnikom, bywałcom i zainteresowanym do rozważenia.

Dorota Lewczuk

W Galerii Arsenal zaprezentowano retrospektywną wystawę Sławomira Chudzika

O charakterze artysty

Znakomity kolorysta i wybitny polski malarz Artur Nacht-Samborski powiedział kiedyś, że *malujemy całym sobą - swoimi chorobami, kompleksami, humorem*. Te słowa pasują jak ulał do twórczości Sławomira Chudzika. Chyba właśnie dlatego w jego obrazach widać pasję życia, która artystę tak dokładnie charakteryzowała. Duża retrospektywna wystawa jego twórczości w Galerii Arsenal w zupełności potwierdza te obserwacje. Nie chcę użyć określenia wystawa pośmiertna, bo w odniesieniu do postaci Sławka Chudzika te słowa wydają mi się wyjątkowym nietaktem. Ktoś, kto tak bardzo, tak naprawdę żył - nie umiera przecież tak zupełnie.

Co było i będzie

O niektórych swoich obrazach, zwłaszcza tych malowanych na wielkich płaszczyznach płótna, artysta autoironicznie mawiał, że malowane są pędzlem - lawkowcem. Jeśli się komuś wyda, że to prawda, niech zobaczy ile subtelności, delikatności i malarskiej kultury można odnaleźć w obrazach o mniejszych formatach, tych przedstawiających martwą naturę, albo też w grafikach. To z pozoru nieprawdopodobne by autor wielkich, ekspresyjnych płócien był też twórcą delikatnych i finezyjnych drzeworytów. Niektóre spośród nich swą kompozycją i subtelną kreską przywodzą na myśl drzeworyt japoński. Oszczędność kolorystyczna i formalna późniejszych obrazów Chudzika też zresztą kojarzy mi się z malarstwem japońskim. Te obrazy to duży kontrast z wcześniejszą twórczością malarską, bardzo ekspresyjną i kolorystyczną, i formalnie.

Wystawa w Galerii Arsenal prezentuje część dorobku artystycznego Sławka Chudzika, który był też autorem licznych ekslibrisów, ale nawet ta część wywiera silne wrażenie. To nie tylko liczba prac - świadectwo pracowitości autora - ale też metafizyczna obecność twórcy, który malował całym sobą.

Joanna Tomalska

WOAK w Białymstoku. Teatr Młodzieżowy PRO. Henryk Bardijewski Co powiedział Chór? Reżyseria i inscenizacja - Jerzy Siech. Premiera w lutym 1994 r.

Wychodząc przed Chór

Przy komplecie na sali widowiskowej Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury, wypełnionej rodzinno-koleżeńską publicznością, odbyła się kolejna teatralna premiera sygnowana intrygującym tytułem: **Co powiedział Chór?**

Co aktywniejsi recenzenci wyrazili już swoje opinie na łamach prasy i są one - odnotowuję to z przyjemnością - pozytywne. Także i niżej podpisany wyniósł z przedstawienia wrażenia dodatnie, więc zbyteczne jest chyba mnożenie pochwał i duserów.

Teatr Młodzieżowy PRO - piętnaście lat temu założony przez aktora **Jerzego Siecha** - zajął się tym razem tekstem renomowanego radiowego dramaturga **Henryka Bardijewskiego**. Stąd w tekście sporo miejsc sugerujących sposoby zagospodarowania przestrzeni dźwiękowej. Czy taki zatem tekst nadawał się do przetransponowania na materię wizualną? Jerzy Siech i zespół wykonawczy PRO udowodnili, że owszem, można takie zadanie zrealizować. Należało tylko utwór Bardijewskiego **Co powiedział Chór?** UJRZEC w kategoriach scenicznych komponentów: postaci, przestrzeni, ruchu, poprzez które rozgrywa się proponowana dramaturgia i jej konflikt. Reżyser powołał więc do życia CHOR i określił jego zadania

sceniczne (dość zresztą absurdalne w ich relacjach): nie dać się zniewolić Dyrygentowi. Dyrygent zaś ma za zadanie Chór zdyscyplinować i doprowadzić do stanu idealnego, do perfekcji.

Tego rodzaju założenie, wyraźnie i śmiesznie absurdalne, sugeruje reżyserowi poszukiwanie i stosowanie środków wyrazu z obszarów właśnie absurdu, groteski, pure-nonsensu... A jeśli przyjąć takie rozumowanie, to inscenizacyjne myślenie Jerzego Siecha - realistyczne i "zbożne" - wydaje się bardzo nieśmiałe i zachowawcze; jakby reżyser przeląkł się żywiołu, jaki mu się objawił. Inaczej mówiąc materia, która ujawnia się w trakcie analizy, nie znajduje właściwego, pełnego wyrazu na etapie syntezy, czyli w inscenizacji widowiska.

Spektakl PRO, cieszący smakoszy słowa artystycznego mocną w wyrazie formą recytacji zbiorowej, porzestaje na relacjach werbalnych przesadnie silowych; widać, że wykonawcom - w momentach *crescendo* - brakuje środków dla wypowiedzenia na przykład gniewu, buntu, sprzeciwu, żądania akceptacji postulatów Chóru. Wtedy aktorzy uciekają się do zwykłego krzyku. Ta uwaga dotyczy też postaci Dyrygenta, którego osoba po prostu nie rozwija się; jest "gotowa" od początku i głośna. Nie zbudowali swych postaci Panowie Dyrygenci; szkoda, że są tacy papierowi.

Nie należy traktować powyższych uwag w kategoriach zarzutów, a jedynie jako konstatację pewnego scenicznego faktu. A fakt ów to zatrzymanie aktorów na etapie stworzenia wewnętrznych motywacji i wyrażania ich niejako siłą młodości, temperamentu, talentu i intelektu. To bardzo ważny etap, lecz czy nie należało pójść dalej? Dokąd? W stronę TEATRALIZACJI; poszukiwań ruchu, gestu, metryki podawanego tekstu, nawet mimiki, plastyki, w tym także charakterystyki, operowania głosem.

Nie chcę przez to powiedzieć, że reżyser spektaklu o takich możliwościach nie wie i nie twierdzą, że odkrywam przed nim teatralne tajemnice. Zastanawia mnie jednak, czemu Jerzy Siech zatrzymuje się na opisanym wyżej etapie, tu określa czas premiery i udaje, że dalej "w teatr" iść niepodobna. Szukając odpowiedzi na to pytanie myślę, że reżyser błędnie ocenia możliwości zespołu jako niewielkie i rezygnuje z zadań trudniejszych. Albo może winę ponosi jakiś biurokratyczny przymus nakazujący inspektorowi - w określonym czasie - rozliczyć się z rezultatów pracy (z "godzin"?) i stąd premiera...

Tak czy owak warto przypomnieć truizm głoszący, że w ruchu amatorskim ważniejszy od premiery jest proces zmierzania do niej. Nikt w najbliższej okolicy - bardziej od PRO - nie jest predestynowany do STUDYJNEGO stylu pracy, który preferuje poszukiwania, powroty, próby wariantów, protesty, spory o formę, bez przymusu rezultatywnego finalizowania poszukiwań.

Młodzi intelektualiści-teatromani (także, ma się rozumieć, intelektualistki rozmiłowane w teatrze!) przynoszą z sobą do PRO młodość, temperament i ciekawość teatru. Nie może więc wystarczać tutaj samo odkrywanie w nich tego, co w nich już jest. Oni, jak sądzę, oczekują jeszcze TEATRU, który jest syntezą. Teatru

kreatywnego, który pozwoli im odkryć całe ich nieuświadomione dotąd bogactwo.

Teatr studyjny. Teatr laboratorium. Teatr intelektualny. Teatr bardzo... teatralny. Tematy godne jubileuszowych rozważań i dyskusji... następane piętnastolecie PRO.

Kacper Sądecki

16 kwietnia 1994 r. o godz. 18.00 w hali Włókniarza Impresariat Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury w Białymstoku organizuje koncert PZLPiT Mazowsze.

Ambasador polskiego folkloru

Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca **Mazowsze** założony został w 1948 roku. Powstał dzięki znanemu kompozytorowi i aranżerowi Tadeuszowi Sygietyńskiemu i jego żonie, popularnej aktorce Mirze Zimińskiej-Sygietyńskiej. W siedzibie zespołu w Korolinie pod Warszawą młodzież z całego kraju uczyła się śpiewu i tańca pod okiem najlepszych pedagogów. Choreografię tańców opracowywali dla zespołu wybitni znawcy polskich tańców narodowych i ludowych, jak choćby Elwira Kamińska, Eugeniusz Popliński, Michał Jarczyk czy obecny choreograf Witold Zapala.

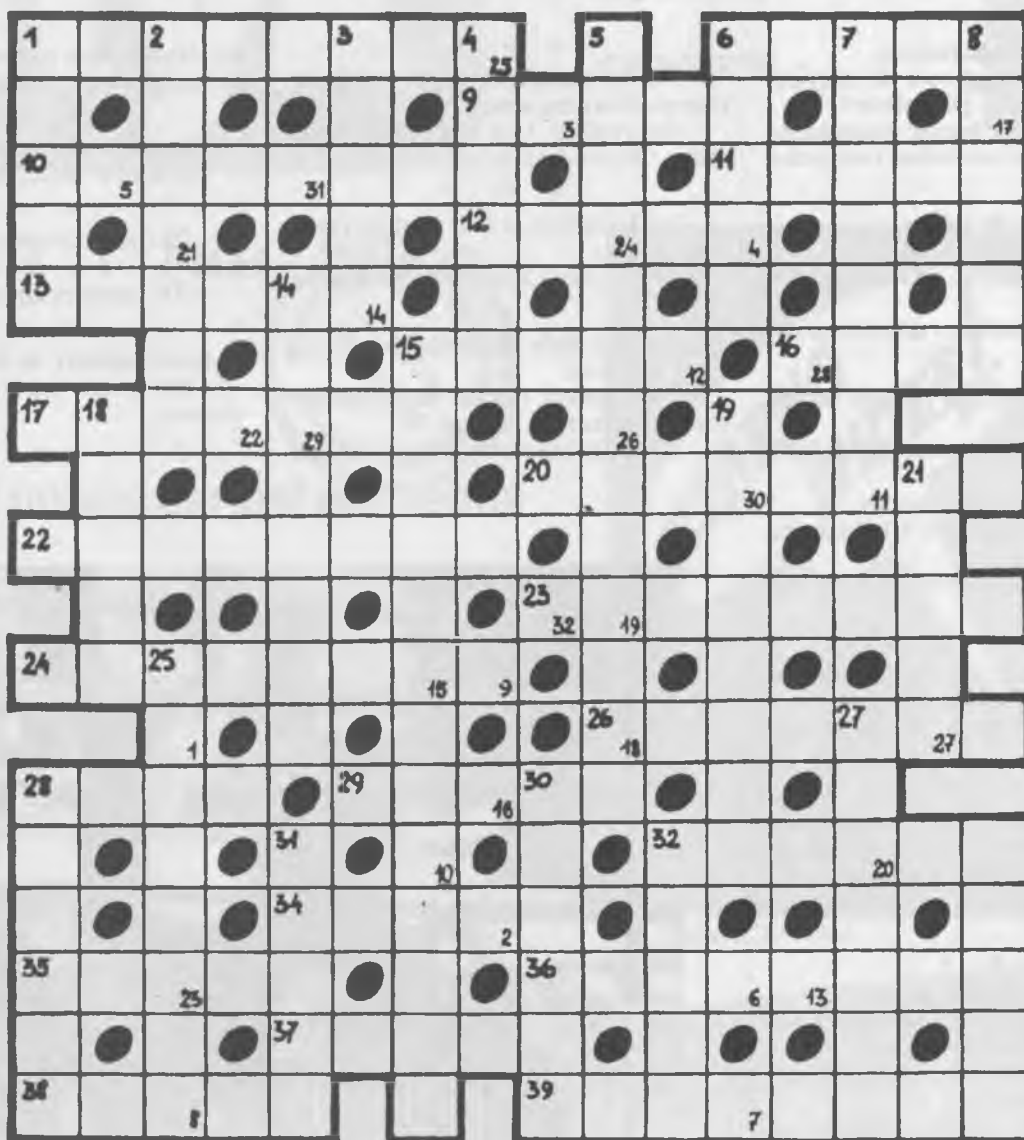
Mazowsze prezentuje folklor artystycznie przetworzony i wystylizowany, opracowany w formę zwartego, dynamicznego, starannie wyreżyserowanego widowiska. Kierownik artystyczny nie boi się retuszu i skrótu, odważnie zestawia choreograficzne opracowania tańca z autentycznym strojem. Kostiumy to zresztą zupełnie oddzielny element widowiska. Gromadzone przez lata, uszyte z naturalnej wełny, lnu, bawełny i jedwabiu, zamawiane specjalnie dla **Mazowsza** u mistrzów rękodziela ludowego, bądź kupowane na wsi, ręcznie haftowane i ozdobione aplikacjami, wyszywane koralikami i cekinami.

Repertuar **Mazowsza** obejmuje pieśni i tańce z 38 różnych regionów etnograficznych Polski. Opiera się w przeważającej mierze na kompozycjach Tadeusza Sygietyńskiego i dokonanych przez niego aranżacjach muzyki ludowej. Ogromny wkład w rozwój **Mazowsza** wniosła również Mira Zimińska, która od początku nad nim czuwała opracowując stroje, teksty oraz całą stronę inscenizacyjną programu, a po śmierci męża przejmując cały trud i odpowiedzialność za prowadzenie zespołu.

Mazowsze swą wyjątkową pozycją i ogromną popularnością w kraju i na świecie zawdzięcza zarówno szczególnej urodzie polskiego folkloru, specyficznemu charakterowi tańców, piosenek, przyśpiewek, strojów, wyjątkowemu - prawie salonowemu - charakterowi ludowości, którą prezentuje, a także twórczej koncepcji Sygietyńskich zakochanych w ludowej sztuce i pragnących zachować ją dla przyszłych pokoleń.

Dorota Lewczuk

K R Z Y Ż Ó W K A



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16
17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32

Poziomo: 1. jeden z Navarony; 6. w nim poczwarka; 9. piecze w przelyku; 10. silna trucizna; 11. jeden z warszawskich teatrów; 12. nie należy dolewać jej do ognia; 13. inaczej: przymierze, związek; 15. utwór muzyczny, towarzyszący defiladzie; 16. twórcze natchnienie; 17. waciak; 20. rodzaj utworu scenicznego; 22. szczególny pomnik, obelisk; 23. napisał *Żegnaj laleczko*; 24. Tristan Tzara lub Andre' Breton; 26. robocza część koparki; 28. powitalna, obrończa albo pogrzebowa; 29. stop!; 32. stan w USA; 34. autor *Dzikiej Kaczki*; 35. z Milo; 36. zakład naukowy; 37. pożyteczna muchówka; 38. dawna nazwa klamry u pasa; 39. malarka lub aktorka.

Pionowo: 1. jeden z miejscowych teatrów amatorskich lub - inaczej totalne fiasko; 2. duży pies obronny, dog angielski; 3. denuncjacja; 4. np. podstawowa; 5. słucha audycji radiowych; 6. ryba z rodziny karpiowatych; 7. może być niższości lub Edypa; 8. opiekunka do dziecka; 14. zrobi wszystko za pieniądze; 15. niegospodarność; 18. porozumienie; 21. trzos, sakiewka; 25. ... z *Bazylei*; 27. z drobiu lub wieprzowy; 28. pracowity owad; 30. kupałnik; 31. przepływa przez Ciechocinek; 32. cena; 33. dystans sportowy.

Prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z poprzedniego numeru *Styku* (tytuły trzech utworów, imię i nazwisko pisarza) brzmi: **Jarosław Iwaszkiewicz - Kardynałowie, Sny, Tatarak**. Nagrody wylosowali: Remigiusz Cegielski i Joanna Dawidek z Białegostoku. Zapraszamy Państwa do redakcji.

Rozmaitości w anegdocie

Rozmowa po przedstawieniu.

- Miałem dziś wyjątkowo złe miejsce. Słyszałem zaledwie co piąte słowo!

- Ja miałem jeszcze gorsze: wszystkiego musiałem dokładnie wysłuchać i wszystko to zobaczyć...

* * *

Góral zapisuje się do partii.

- A nie należeliście do jakiejś bandy? - pyta sekretarz.

- Niii - odpowiada baba - ta będzie pirso.

* * *

- Nie wierzysz więc w łagodną jesień, drogi Watsonie?

- Ależ... Skąd taki wniosek, drogi Holmesie?

- Nosisz wszak ciepłe kalesony.

- Tak! Jak na to wpadłeś? Chyba drogą dedukcji?

- Ależ skąd! Zwyczajnie: zapomniałeś włożyć spodnie.

* * *

- Ja, na przykład, wychodzę za mąż z miłości - chwali się młoda dama.

- Czy za każdym razem? - pyta wnikliwie przyjaciółka.

* * *

Nauczyciel pisze uwagę w zeszytce Ewy: *córka gada przez całą lekcję*. I ma to podpisać ojciec. Na drugi dzień nauczyciel czyta w zeszytce: *powinien pan choć raz usłyszeć jej matkę*.

* * *

Spotykają się dwaj przyjaciele.

- Pogratuluj mi: moja żona powiła syna!

- No, brawo! A któż jest ojcem?

- Słuchaj, za takie chamstwo możesz zaraz dostać w mordę!

- Nie denerwuj się! Nie miałem nic złego na myśli. Sądziłem, że wiesz!

* * *

Szkot do Szkota o sąsiedzie - Szkocie.

- Patrz, ten to ma głowę! Nauczył się czytać systemem Braille'a.

- Po co?

- Żeby wieczorem nie palić światła.

* * *

- Czy opowiadałem ci o tym szczupaku, którego złowiłem w maju?

- Oczywiście! I co z tą rybką? Nadal rośnie... Pewnie już duża?

* * *

- I co? Jesteście w tym roku przygotowani do zimy?

- Oczywiście! Chyba, żeby spadł śnieg.

* * *

- Podobno znów się żenisz?

- To prawda.

- Dajże spokój, ty masz już osiemdziesiątkę a naręczona dopiero 18!

- Wiesz, że nie zmieniam przyzwyczajeń.

jeń. Nawet moja pierwsza żona, gdy wychodziła za mnie, miała 18 lat.

* * *

- Ilu ludzi rodzi się ostatnio w Chinach?

- Miliard w środę, miliard w sobotę.

* * *

- Jaki jest najlepszy szampon dla tyśnych?

- CIF, bo nie rysuje powierzchni.

* * *

Jeden pampers do drugiego:

- Nie martw się. I tak nic z nas nie wycisną...

azb



W kolejce po rogi?

fol. pete

STYK REDAGUJE ZESPÓŁ W SKŁADZIE

ADRES REDAKCJI

Wojewódzki Ośrodek
Animacji Kultury
15-089 Białystok
ul. Kilińskiego 8
tel. 328-652, 320-724

REDAKTOR NACZELNY

Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

ZESPÓŁ

Kazimierz Derkowski
Anna Kowalska
Dorota Lewczuk

PROJEKT OKŁADKI I RYSUNKI

Kazimierz Falkowski

SKŁAD KOMPUTEROWY I ŁAMANIE

Barbara Popławska

Elżbieta Szczurek

DRUK

SOBOLDRUK